

Dźwięk rogu

Sarban

Dźwięk rogu

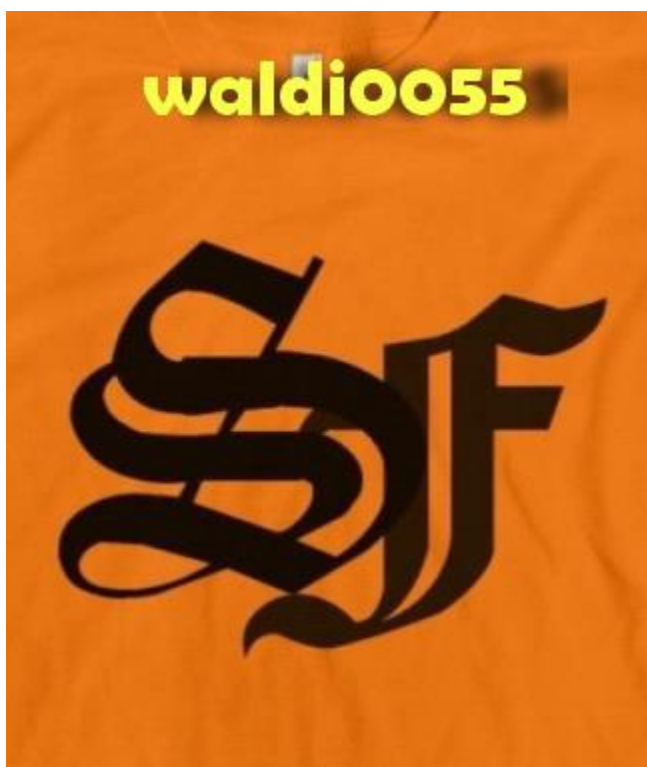
The Sound of His Horn

Przełożył i posłowiem opatrzył:

Lech Jęczmyk

Wydanie oryginalne: 1952

Wydanie polskie: 2001



Rozdział pierwszy

– To strach jest nieznośny.

Wszyscy spojrzeliśmy na Alana Querdiliona. Po raz pierwszy włączył się do tego sporu, właściwie po raz pierwszy odezwał się od kolacji. Siedział tylko, paląc fajkę, i przenosił wzrok na kolejnych dyskutantów z wyrazem łagodnego zdziwienia na twarzy, który ostatnio towarzyszył mu prawie stale, a który kojarzył mi się nie tyle z niewinnością dziecka, co z prostotą dzikusa, dla którego dźwięk obcego głosu jest ważniejszy od tego, o czym się mówi. Oglądając ten wyraz twarzy od trzech dni, zrozumiałem, co miała na myśli jego matka, kiedy ze smutkiem powiedziała mi na osobności, że Niemcy nie wypuścili z więzienia w czterdziestym piątym całego Alana.

Nie widziałem go od prawie dziesięciu lat, od dnia, kiedy wszedł na pokład swojego okrętu jako porucznik Marynarki Królewskiej. Może zbyt pośpiesznie przyjąłem założenie, że czas i wojna mają wielki wpływ na charakter człowieka: później byłem zdumiony, że tak mało przejąłem się przemianą w Alanie. Mimo że to przejście od pewnego siebie, tryskającego energią, wesołego, młodego człowieka i utalentowanego sportowca do milczącego, nieruchawego i zamyślonego osobnika nakładało się na ogólną apatię oraz upadek sił duchowych i materialnych, które dotknęły Anglię po wojnie. Łatwo, było zapomnieć tego dawnego Alana.

Łatwo podczas pierwszych trzech dni mojej wizyty w Thorsway, do czasu rozmowy z jego matką. To ona, spokojnie i

ze smutkiem pytając, co się stało z Alanem, zmusiła mnie do zauważenia w nim przemiany. Było to tak, jakby myślała, że będąc jego najbliższym przyjacielem w szkole i na uniwersytecie, mogę wykupić z niewoli tę część jego umysłu, która wciąż jeszcze jest gdzieś przetrzymywana. Tak to właśnie ujęła: „Oni” odesłali jego mniej więcej zdrowe ciało i tyle z jego umysłu, ile wystarczało do prowadzenia niewielkiego gospodarstwa po ojcu, ale resztę zatrzymali. Co oni z nim zrobili? Ale co on ze sobą zrobił, w czasie tych czterech lat w obozie jenieckim?

Staralem się wykręcić od roli amatorskiego psychiatry, jaką mi to zaufanie matki podsuwało. Zasłoniłem się jakimiś ogólnikami o doświadczeniach wojennych i monotonii życia obozowego, jakie nagromadziłem po rozmowach z wieloma byłymi jeńcami wojennymi, a poza tym, dodałem może niezbyt grzecznie, Alan jest teraz o dziesięć lat starszy, nie można oczekiwać, że będzie wiecznym chłopcem. Potrząsnęła głową.

- To jest coś bardziej osobistego i smutno mi głównie ze względu na Elizabeth. - Mogłem tylko zapewnić ją bez przekonania, że nie zauważam w nim aż tak wielkiej zmiany.

Niewątpliwie pozostałe osoby, zebrane w saloniku tego zimowego wieczoru przyjmowały bierność albo zamyślenie Alana za rzecz normalną, a przecież też znali go sprzed wojny. Myślę, że jego włączenie się do rozmowy zaskoczyło ich nie mniej niż mnie.

Byli tam państwo Hedleyowie i ich córka Elizabeth. Major Hedley, obecnie na emeryturze, był starym sąsiadem Querdilionów i podobnie jak Alan prowadził teraz gospodarstwo. Był tam też Frank Rowan, kuzyn Alana, wykładający ekonomikę na Uniwersytecie Północnym. Tak jak i ja spędzał tu tygodniowe wakacje. I on, i Hedleyowie znali Alana od dziecka i jeżeli uważali, że coś z nim jest nie tak, to

nie zdradzili się przede mną ani słowem: traktowali go jak prostego, dobrodusznego sąsiada, który potrafi uruchomić oporny traktor albo podłubać przy starym silniku, który może zaskoczyć zręcznością, z jaką wdrapie się na dach stodoły albo przeskoczy przez płot, ale nie jak kogoś, kto może coś wnieść do sporu, jaki toczyliśmy tego wieczoru.

A jednak jego matka miała rację. Ten spór bardziej niż cokolwiek innego uświadomił mi zmianę, jaka się w nim dokonała. Sam nie polował na lisy, ale przyjaźnił się z myśliwymi i lubił wszystkie ćwiczenia fizyczne. Przed wojną należał do klubu myśliwskiego i jeżeli nie brał udziału w polowaniach, to dlatego, że był raczej biegaczem niż jeźdźcem. W Cambridge słynął jako przełajowiec i bardzo dobry wszechstronny sportowiec, ale nie jeździec. W swoim rodzimym otoczeniu kojarzył mi się raczej z dziedzictwem wolnych kmieci niż szlachty, widziałem go jako potomka starej rasy farmerów z Lincolnshire, którzy woleli charty od ogarów i pieszo przemierzali z nimi smagane wiatrem bezleśne wyżyny. Ale myślistwo miał we krwi i gdyby Frank w tamtych czasach zaatakował polowania na lisy, Alan pierwszy ruszyłby do akcji w ich obronie.

Teraz jednak milczał przez półtorej godziny, podczas gdy inni toczyli zażarty spór. Frank Rowan w wojowniczym nastroju bronił przegranej sprawy, gdyż Izba Gmin odrzuciła właśnie projekt prawa zakazującego polowań na lisy. Frank był agresywny, zjadliwy, prowokacyjny i jak na mój gust nieco niegrzeczny w stosunku do naszej gospodyni i jej sąsiadów, kiedy podkreślał moralną i umysłową niższość wszystkich, którzy uprawiają lub aprobują krwawe sporty. Major Hedley łączył skromność wytrwałego zawodowego żołnierza z właściwą ziemianinowi znajomością tematu i bronił swego stanowiska w sprawie polowań na dobrze sobie znanym

gruncie, nie pozwalając się wciągnąć na grząski teren filozofii i psychologii, gdzie nie mógłby stawić czoła Frankowi.

Inaczej Elizabeth Hedley, i najdziwniejsze było to, że Alan nawet nie bąknął w jej obronie i nie wykonał najmniejszego gestu, żeby ratować ją z gmatwaniny sprzeczności i niekonsekwencji, w którą Frank zapędził ją swoją złośliwą dialektyką. Jej zapał poruszyłby mężczyznę znacznie mniej ulegającego urokom młodych, ożywionych zapałem kobiet, niż dawny Alan. Teraz sprawiał tylko wrażenie zdziwionego, a raz czy dwa zaniepokojonego.

Elizabeth miała dwadzieścia dwa lata, była ładna i pełna życia. Urodziła się i wychowała w Thorsway i przed wojną, jako jedenaste – czy dwunastoletnie dziecko, spędzała dużo czasu z Alanem, którego niezmiennie podziwiała. Przez całe życie pasjonowały ją konie i przy każdym naszym spotkaniu w czasie tych trzech dni na wsi, mówiła tylko o polowaniu, wystawach koni, zebraniach klubu jeździeckiego i hodowli psów myśliwskich. Można by oczekiwać, że to ją najbardziej zmartwi zmiana, jaka zaszła w Alanie, ale najwyraźniej zgodziła się wyjść za niego, jak tylko wrócił z niewoli i nikt oprócz pani Querdilion nawet się do mnie nie zająknął, że nie wszystko się między nimi układało. Z tego, co widziałem, w stosunku Elizabeth do Alana nie było ani cienia litości czy protekcjonizmu, żadnej przesadnej troskliwości, jaką dziewczyna o dobrym sercu okazywałaby komuś, kto wróciłby z wojny jako kaleka lub ślepiec.

Mówię, że byli zaręczeni, ale nie wiem, czy zaręczyny zostały kiedykolwiek ogłoszone. Uważałem to za rzecz oczywistą, sądząc ze sposobu, w jaki mówili o nich państwo Hedley i matka Alana. Co prawda, zastanawiało mnie nieco, dlaczego tak przeciągają narzeczeństwo, bo chociaż Elizabeth miała zaledwie osiemnaście lat, kiedy Alan wrócił, i jej rodzice

niewątpliwie woleliby, żeby poczekała, ale zupełnie nie widziałem powodu, dla którego nie mieliby się pobrać w ubiegłym roku.

Potem, kiedy obserwowałem Elizabeth podczas tego zajadłego sporu wokół polowań na lisy, i dostrzegłem skrywany strach w oczach biednego Alana, kiedy ona z oburzeniem kontrowała ataki Franka, musiałem przyznać, że matka Alana miała rację. Alan zatracił ducha, jego męskość zanikła albo była w uśpieniu, coś tak go zmieniło, że jej ożywienie, młodość, zapał i uroda napawały go lękiem. On się jej po prostu bał i chociaż inni mogli uważać ich zaręczyny za coś oczywistego, to zrozumiałem, że ani dla niego, ani dla niej, nie było to takie proste, bo on nie miał odwagi poprosić jej o rękę. Jego matka wiedziała, że Alan straci Elizabeth, jeżeli się nie zmobilizuje i stwierdziłem, że podzielam jej niepokój. Stanowiliby tak dobrą parę, Elizabeth wносиłaby ożywienie i energię, których Alan tak potrzebował, a nie chciało mi się wierzyć, żeby zmienił się do tego stopnia, żeby nie reagować na jej fizyczną urodę. Potrzebował tylko jakiegoś starego przyjaciela, który mu uświadomi niebezpieczeństwo, na jakie się naraża, pozwalając, żeby nabyta niemrawość wzięła w nim górę nad jego prawdziwymi pragnieniami... Zanim sprzeczka dobiegła końca, zgodziłem się na rolę, jaką mi przeznaczyła pani Querdilion.

Spór zakończył się w sposób zgoła nieoczekiwany. Frank, jak sądzę, wygłaszał swoje poglądy bardziej dlatego, że bawiło go prowokowanie Elizabeth, niż dlatego, że był z zasady przeciwnikiem polowań. Ich dyskusja, jak już wspomniałem, stawała się momentami bardzo ostra i, jak na mój gust, prawie obraźliwa, chociaż zapewne znali się tak dobrze, że mogli okładać się słowami, nie dochodząc do granicy obrazy. Mimo to po jakimś czasie Frank zaczął się wycofywać i stopniowo

zmieniać spór w przekomarzenie się i żarty, aż doszedł do momentu, w którym mógł powiedzieć:

– Cóż, nikt jak dotąd nie przebił Oscara Wilde’a, który zdefiniował polowanie na lisa jako „pościg nieznośnych za niejadalnym”.

A wtedy Alan wyjął z ust fajkę i stwierdził cichym, rzeczowym głosem:

– To strach jest nieznośny.

Zaskoczył nas pozorny brak związku tej uwagi z dyskusją i powrót do poważnego tonu, a także fakt, że Alan jednak zdecydował się zabrać głos. Frank i major wyglądali na zdezorientowanych, ale Elizabeth, po wyrażającym niezrozumienie spojrzeniu, odezwała się ostro, z wyczuwalną nutą wrogości w głosie:

– Strach? Jaki strach?

Alan pochylił się z fajką zaciśniętą między dłońmi i w zamyśleniu spojrzął na kota, zwiniętego w kłębek na dywaniku przed kominkiem. Widocznie trudno mu było sformułować myśl i czekaliśmy, przynajmniej my trzej mężczyźni, ze zbyt oczywistą cierpliwością. Major, który przeszedł od zdziwienia do rozbawienia, uśmiechnął się zachęcająco jak do dziecka, mającego kłopot z recytacją wierszyka.

– Chodzi mi – powiedział Alan w końcu, nie spuszczać wzroku z kota – chodzi mi o strach, jaki odczuwa istota, na którą polują. To jest właśnie coś, czego nie można opisać, coś nieznośnego.

Elizabeth uniosła brwi i szeroko otworzyła oczy. Cały wyraz jej twarzy sygnalizował niezgodę i wyzwanie. Spodziewałem się, że wybuchnie okrzykiem „Bzdura!” lub czymś podobnym i naskoczy na niego z agresywnością, z jaką już wielokrotnie tego wieczoru atakowała Franka Rowana,

twierdząc, że gwałtowna śmierć stanowi naturalne i najbardziej miłosierne zakończenie życia wszystkich dzikich stworzeń, że zwierzęta nie mają wyobraźni i nie są w stanie przeżywać okropności śmierci, zanim ta nie nadejdzie, a więc wyliczając wszystkie wytarte argumenty tych myśliwych, którzy mają nieostrożność przywoływać lisa na świadka. Byłem pewien, że zarzuci tym wszystkim Alana, bo wyraz jej twarzy zdradzał aż nadto jej zamiar, zanim jednak zdążyła otworzyć usta, jej myśli wyraźnie skierowały się w inne i całkowicie odmienne łożysko. Sprzeciw i zapalczywość ustąpiły; przyglądała się Alanowi, którego postawa wyrażała przygnębienie i skrępowanie, kiedy tak siedział pochylony, odwracając od niej głowę. Trudno było odgadnąć, jakie zrozumienie, jaką nową interpretację doświadczeń, odsłoniły przed nią jego słowa. Mogłem się tylko domyślać, że dla niej przedmiotem zainteresowania przestało być polowanie na lisa, a stał się nim sam Alan. Jakby nagle odkryła, że strach, o którym mówił, w jakiś dziwny sposób miał coś wspólnego z nią, i zareagowała instynktownie zwiększeniem czujności, zdecydowana nie ujawniać swoich myśli. Czekala, aż odezwie się ktoś inny.

Tymczasem jednak pani Hedley zaczęła się zbierać do wyjścia i Alan w milczeniu wstał i wyszedł, żeby zapalić światło w hallu, a kiedy pożegnaliśmy gości, wziął latarnię i wyszedł po coś na dwór.

Pani Querdilion wkrótce pożyczył nam dobrej nocy, a Frank, poartowawszy chwilę, zadowolony ze zwycięstwa w sporze i rozbawiony dziwną interwencją Alana, też udał się na spoczynek. Nie przyzwyczajony do zasypiania o tak wczesnej godzinie, nalałem sobie piwa, zgasilem światło i podsycałem ogień w kominku.

Kot wskoczył na poręcz mojego fotela i podwinąwszy

przednie łapy, ułożył się, wpatrzony w płonące węgle.

Odgłosy kroków i powiew chłodnego powietrza wyrwały mnie nie z drzemki, ale z rozpamiętywania długiej sekwencji wspomnień, które przepływały przez mój umysł jedno za drugim, jak obrazy we śnie. To wrócił Alan. Słyszałem, jak cicho zamyka drzwi wejściowe. Wstałem, żeby zapalić światło i wpadłem na niego w drzwiach do saloniku. Zachłysnął się powietrzem i chwycił mnie za klapy marynarki. Kiedy się odezwałem, roześmiał się z ulgą i zwolnił uchwyt.

- Zapomniałem o kocie - powiedział. - Czy jest może tutaj? Myślałem, że wszyscy już śpicie.

Głos mu drżał. Włączyłem światło i wstrząsnął mną widok jego bladej jak papier twarzy. Pełen skruchy, że tak go przestraszyłem, przeprosiłem go za to moje chodzenie po ciemku. Z wyraźnym zawstydzeniem wymamrotał, żebym się nie przejmował i podszedł do kominka, demonstracyjnie rozglądając się za kotem, ale jego nerwowe ruchy zdradzały, że wciąż jeszcze dochodzi do siebie po szoku.

Pomyślałem, że wypada coś powiedzieć, i nawiązałem do głównego tematu wieczoru.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby dziś wieczorem Elizabeth dostrzegła coś w humanitarnych protestach przeciwko polowaniom. Na skutek tego, oczywiście, co ty powiedziałeś, albo tego, jak to powiedziałeś. Zdaje się, że dało jej to do myślenia.

Odwrócił się do mnie gwałtownie.

- Ona poluje przez całe życie. Dlaczego coś, co ja powiedziałem, miałoby tu coś zmienić?

Stało się dla mnie jasne, że omawiali już tę sprawę między sobą i to z pewną zapalczywością, a chociaż mnie różnica opinii w takiej kwestii między parą zakochanych wydawała się nieistotna, to rozumiałem, że w świecie, gdzie polowanie

traktuje się z powagą, sprawa mogła być istotna. Ale dlaczego Alan miałby nie chcieć, żeby Elizabeth polowała teraz?

– Sam nie wiem – odpowiedziałem. – Uznałem za rzecz naturalną, że twoja opinia się liczy, na pewno dużo bardziej niż opinia Franka. Poza tym swego czasu każde twoje słowo było dla niej wyrocznią.

Pochylił się i dołożył do ognia, jakby zupełnie zapomniał, że ma iść do łóżka. Potem stał chwilę, obserwując w milczeniu, jak polano zajmuje się ogniem i dymi. Wreszcie, nie patrząc na mnie, powiedział starannie kontrolowanym głosem:

– Matka rozmawiała z tobą o mnie i o Elizabeth, prawda?

– Tak... – przyznałem. – O tobie... Trochę się martwi. Myśli chyba, że coś cię gnębi. Co do mnie, to nie widzę w tobie większej różnicy, poza tym, że chwilami jakbyś stracił język w gębie i, jeżeli się nie pogniewasz, twoje nerwy nie są w najlepszym stanie. Sądzę, że nie jesteś w zbyt dobrej formie, a tu na wsi to jest konieczne. To chyba nie alkohol, co?

Alan roześmiał się.

– Od tych trzech dni, kiedy tu przyjechałeś, myślę, że jesteśmy parą tych samych facetów, co dawniej. Twój przyjazd dobrze mi zrobił. Czuję, że jednak się nie zmieniłem.

– Cóż – powiedziałem – charakter i uczucia powinny w nas pozostawać bez zmiany, ale przed ludzkością nie byłoby nadziei, gdyby doświadczenia nie zmieniały naszego zachowania i poglądów. Masz za sobą sześć lat wojny i obozu. Mogę doskonale zrozumieć, że po czymś takim człowiek zmienia spojrzenie na wiele spraw.

– Tak – powiedział. – Ty byś zrozumiał. Albo w każdym razie okazał zainteresowanie. – Wyprostował się gwałtownie i odwrócił w moją stronę. – Nie jesteś śpiący? Chcesz, żebym ci coś opowiedział? Pozwól, że napełnię ci szklanę, a potem usiądziemy i opowiem ci pewną historię.

Nalał piwa sobie i mnie, zgasił światło, potem poruszył polana w kominku, aż wystrzeliły płomieniem.

– Łatwiej mi będzie opowiadać przy świetle z kominka – powiedział, zasiadając w fotelu naprzeciwko mnie – a jak cię znudzę, będziesz mógł spokojnie zasnąć w sposób niezauważony.

Nabiliśmy fajki i czekałem.

– Nie opowiadałem o tym nikomu, ani mojej matce, ani Elizabeth. I zanim zacznę, chcę podkreślić, że to jest opowieść. Tylko opowieść, którą ci opowiadam w nadziei, że może cię zaciekawić. Nie proszę cię, żebyś słuchał z nastawieniem, że masz odgadnąć, na czym polega mój problem. Wiem to doskonale sam, i nikt tu nic nie może pomóc. Pozostaje czekać, czy to coś się powtórzy. Jak na razie nie zdarzyło się to przez trzy lata i jeżeli nie powtórzy się przez następny rok, uznam, że już się nie zdarzy, a wtedy będę mógł bezpiecznie poprosić Elizabeth o rękę i wszystko będzie dobrze. Może sobie jeździć na polowania i nie będę się z nią o to kłócił, dopóki nie zechce, żebym ja w tym uczestniczył. A tego ona nie robi.

Rozdział drugi

– "Nie jestem szalony, szlachetny Festusie". Nie. Ale byłem. Nie jakiś tam niezrównoważony czy zdziwaczały, ale autentycznie, ponad wszelką wątpliwość zwariowany. Teraz jestem znowu normalny. Całkowicie normalny, jak sądzę. Tyle że przeskoczywszy raz bardzo gwałtownie na inny bieg, wiem, jak szybko i łatwo może się to zdarzyć i czasem coś niespodziewanego na chwilę przejmuje mnie strachem. Dopóki się nie upewnię, że jestem po tej stronie muru, że tak powiem.

Nie jest, oczywiście, czymś niezwykłym, że człowiekowi w obozie jenieckim odbija. Może się to zdarzyć każdemu i to niekoniecznie temu najbardziej wrażliwemu albo mającemu najwięcej kłopotów. Widziałem takich, zanim mnie się to przydarzyło. Nazywaliśmy ich szczęśliwymi. Myślę, że znam powód ich specyficznej obojętności: oni po prostu nie wiedzą, co się dzieje w tym świecie, bo tak są zajęci tym drugim. I człowiek czuje się wyjątkowo przytomnie. Jestem pewien, przynajmniej w moim przypadku, że będąc po tamtej stronie, byłem dwukrotnie bardziej aktywny umysłowo i dwukrotnie bardziej wrażliwy, niż kiedy wróciłem do rzeczywistości i znalazłem się na powrót w klatce.

Byłem zadowolony, że była to inna klatka. Nikt z moich

współtowarzyszy nie wiedział, że miałem przerwę w życiorysie i kiedy wychodziliśmy, psychiatrzy uznali mnie za całkowicie normalnego. Nie powiedziałem im, rzecz jasna, tego, co opowiadam teraz tobie.

Zostaliśmy zbombardowani i zatopieni u wybrzeży Krety w roku czterdziestym pierwszym i spędziłem dwa lata w obozie we Wschodnich Niemczech: Oflag XXIX Z. Mały świat, który stał się aż zbyt dobrze znajomy: druty kolczaste, oczywiście, pośpiesznie sklecone baraki, zimno w zimie, gorąco w lecie, brudne umywalnie, śmierdzące latryny, lekka piaszczysta gleba, w oddali czarny sosnowy las i wartownicy na wieżyczkach strażniczych. A także wszystkie te fortele, sztuczki, studia i wynalazki, które się nam wydawały tak ważne; zresztą one były ważne w świecie zredukowanym do takich rozmiarów.

Pochlebiałem sobie, że znoszę obóz jeniecki o wiele lepiej niż większość ludzi. Nigdy nie jestem naprawdę nieszczęśliwy, dopóki mogę coś robić własnymi rękami, i aż zadziwia, jak zajęтым rzemieślnikiem można się stać w takich warunkach, jeżeli się ma odpowiednie skłonności. Jestem naprawdę dumny z niektórych rzeczy, które zbudowałem z puszek po konserwach. Pilnowałem się też, żeby myśleć obiektywnie. Postanowiłem przypomnieć sobie grekę. Pewnie rozsądniej byłoby nauczyć się niemieckiego, ale, jak sądzę, greka pociągała mnie, bo wydawała się taka czysta i świeża, i nie miała nic wspólnego z obozem.

Wspominam o tym, żeby podkreślić, że należałem do bardziej optymistycznych jeńców. Brakowało mi, oczywiście, mojej porcji ćwiczeń fizycznych, ale, biorąc pod uwagę marne wyżywienie, zapewne uzyskiwałem to, co możliwe, dzięki codziennej gimnastyce. Poza tym, nie miałem żadnych kłopotów rodzinnych. Otrzymywałem listy od matki i od

Elizabeth tak regularnie, jak to było możliwe, i dopóki te dwie istoty miały się dobrze, od tej strony byłem spokojny. Możesz powiedzieć, że wymuszone towarzystwo osób wyłącznie płci męskiej stanowi ograniczenie, mogące wywołać napięcie psychiczne... ale sam nie wiem, to dotyczyło nas wszystkich. Myślało się, rzecz jasna, o różnych figlikach, ale myślę, że łatwiej jest spojrzeć filozoficznie na rozstanie z nimi, jeżeli zaznało się tych przyjemności przed trafieniem za druty. Największy kłopot mieli z tym chłopcy, a nie faceci w moim wieku.

Nie, patrząc na to całkowicie uczciwie i obiektywnie, a obóz jeniecki jest dobrym miejscem do mierzenia różnic między dewiacją a normą, powiedziałbym, że byłem jednym z ostatnich w kolejce do wariatkowa. Ale faktem jest, że trafiło na mnie. Oczywiście przyczyną mógł być wstrząs, elektryczny, czy co mnie tam poraziło: zaraz do tego dojdę. Ale z drugiej strony, przeżyłem wcześniej gorsze wstrząsy. Zostałem storpedowany dwukrotnie w ciągu trzech miesięcy na Morzu Północnym, nie mówiąc o tej nieszczęsnej bombie. Dla mojego ciała były to znacznie poważniejsze przeżycia niż to, czego doznałem przy tym płocie w Hackelnberg, a przecież nie zaćmiły mojego umysłu.

No cóż. Nie uwierzyłbyś, ile razy zastanawiałem się nad stanem swojej psychiki w ciągu tych dwóch lat, jak przesiewałem fakty, żeby znaleźć jakieś oznaki ukrytej słabości, i na nic nie trafiłem. A powinienem. Powinienem móc znaleźć przyczynę tego, że na pewien czas postradałem zmysły, bo to, rozumiesz, byłoby najlepszym dowodem normalności. Nie tylko mojej, ale całego tego porządku, w który wierzymy, z właściwym następstwem czasu, prawami przestrzeni i materii, prawdą całej naszej fizyki, bo, widzisz, jeżeli to nie ja oszalałem, to w samym porządku rzeczy musi

tkwić szaleństwo, którego rozmiary przekraczają zdolność jego akceptacji przez najodważniejszy umysł.

A trzeba pamiętać, że byłem uważany za najspokojniejszego, najrozsądniejszego, najsolidniejszego starego konia w całym obozie. Mieliśmy tam komitet ucieczkowy złożony z doborowych mózgów wśród oficerów starszych: potrafili ocenić człowieka lepiej niż większość waszych psychiatrów. Już kto jak kto, ale oni, ze swoim znanstwem zwariowanych pomysłów, zdołaliby dostrzec we mnie jakieś pęknięcie, tymczasem jako doradca czy pomocnik miałem udział w przygotowaniu prawie wszystkich uciezek. Stałem się swego rodzaju konsultantem, ekspertem, którego rady zasięgano przed przedstawieniem komitetowi planu do zatwierdzenia.

Uciezka oczywiście była celem, wokół którego obracały się wszystkie nasze myśli. Nasze małe zajęcia i rozrywki stanowiły jakby powierzchniowe fale, a przygotowania do uciezki morze, które kołysało wszystkim, co robiliśmy.

W praktyce wszystkie plany uciezek stanowiły warianty jednej metody. Istniał tylko jeden sposób na pokonanie drutów: krecia robota czyli podkop. Uczestniczyłem w planowaniu wielu tuneli i byłem członkiem wielu zespołów kopiących i ukrywających ziemię, ale nie mieliśmy ani jednej udanej uciezki z Oflagu XXIX Z do czasu, kiedy próbę podjąłem ja z jednym z kolegów.

Nie chcę wdawać się w szczegóły planowania i drażenia podkopu, ale dowodziłyby one czegoś wręcz przeciwnego, niż usiłuję dowieść tą historią, ponieważ tunel został bezbłędnie zaplanowany i znakomicie wykonany. Cały obóz pracował na nasz sukces.

Uciekliśmy w nocy pod koniec maja, na godzinę przed wschodem księżyca. Nasz tunel wychodził na powierzchnię

sto jardów za drutami, pozostawiając nam pięćdziesiąt jardów sprintu do skraju lasu. Większość planów zawiodła, ponieważ tunele nie zostały wyprowadzone odpowiednio daleko za druty. Praca była tak ciężka, a czas tak się dłużył, że natychmiast po wyjściu za ogrodzenie pojawiała się przemożna pokusa, żeby przestać kopać i zaryzykować dłuższy odcinek biegu. My oparliśmy się tej pokusie i odnieśliśmy sukces, przynajmniej jeżeli chodzi o dotarcie do mrocznego schronienia lasu bez wywołania alarmu. Wykorzystaliśmy znaną metodę, polegającą na tym, że nasi koledzy wszczęli bójkę w jednym z baraków, ściągając na siebie uwagę strażników: stara sztuczka nie zawiodła.

Oparliśmy się też pokusie szczegółowego zaplanowania dalszych etapów ucieczki. Jim Long i ja mieliśmy różne wyobrażenia na temat poruszania się po Niemczech czasu wojny i ustaliliśmy, że każdy podróżuje na własną rękę. Miastem docelowym był Szczecin, tam mieliśmy skontaktować się z kimś z podziemia i dostać na szwedzki statek. Tak wyglądał ogólny zarys planu i takim go pozostawiliśmy. Można powiedzieć, że byliśmy nieprecyzyjni i liczyliśmy na łut szczęścia, ale życie pokazało, że to się mogło udać. Long dojechał do Szczecina pociągiem, ukrywał się przez tydzień w domu marynarza, został przemycony na pokład szwedzkiego statku z rudą i wyszedł z tego cało. Ja nie miałem takiego szczęścia.

Obaj zgodzaliśmy się, że należy podróżować pociągiem, ale różniliśmy się co do tego, gdzie należy wsiąść. Jim, który bardzo dobrze znał niemiecki i francuski, chciał dojść do najbliższej stacji, pokazać swoje podrobione papiery francuskiego robotnika, kupić bilet kolejowy i zawierzyć zwyczajności tego postępowania. Mój plan natomiast polegał na tym, żeby wsiąść do pociągu jak najdalej od obozu.

Wybrałem Daemmerstadt, do którego planowałem dotrzeć dwoma nocnymi marszami, śpiąc w lesie w ciągu dzielącego je dnia. Miałem podróżować jako oficer bułgarskiej marynarki handlowej, spieszący na swój statek w Szczecinie. Mój mundur Marynarki Królewskiej po nieznaczących przeróbkach mógł, jak sądziłem, ująć za coś, co prawie każdy Niemiec zaakceptuje jako strój bułgarskiego marynarza, a nasi chłopcy od dokumentów zaopatrzyli mnie w przekonujący zestaw papierów, łącznie z jednym wypisanym cyrylicą, wyglądającym bardzo egzotycznie i po bałkańsku. Moim największym ryzykiem było, że mogę natknąć się na kogoś znajomego bułgarski, ale uznałem, że szanse na to są niewielkie. Co do reszty, to miałem dzięki kolegom żywność na cztery dni, kompas w guziku, którego Niemcy nie znaleźli, kiedy mnie brali do niewoli na plaży, trochę niemieckich pieniędzy i dobrą mapę, dostarczoną przez komitet ucieczkowy.

Pożegnaliśmy się z Jimem pośpiesznie w ciemnościach lasu, podczas gdy z obozu dobiegały nas odgłosy sfingowanej bijatyki. Psy ujadły jak szalone i wartownicy wrzeszczeli, ale żaden nie skierował reflektora na naszą stronę drutów. Wszystko wskazywało na to, że faza druga operacji zakończyła się pełnym sukcesem. Znałem swoją mapę na pamięć i miałem kierunki dobrze poukładane w głowie. Pierwsza część pierwszego nocnego odcinka zapowiadała się najgorzej: musiałem wziąć kurs prosto na wschód przez sosnowy las, żeby po jakichś trzech godzinach marszu wyjść na polną drogę, którą z kolei miałem przejść cztery czy pięć mil z grubsza w kierunku północno-wschodnim, potem znów skrócić na wschód, żeby obejść wioskę, potem zygzakiem po małych drózkach przebyć mało zamieszkaną szeroką równinę i dojść do następnego pasma lasów, do którego powinienem

dotrzeć o brzasku. Tam miałem zamiar ukryć się i odpocząć. Następnej nocy powinienem pójść na zmianę przez lasy i pola, żeby mniej więcej o świcie dotrzeć do linii kolejowej na południe od Daemmerstadt.

Nie miałem złudzeń co do trudności wędrowania nocą przez las i starałem się korzystać z dróg, o ile tylko uważałem to za bezpieczne. Uznałem, że mogę zaryzykować spotkanie z rolnikami albo wiejskimi policjantami na bocznych drogach, bo wiadomość o naszej ucieczce pewnie jeszcze do nich nie dotarła, i byłem pewien, że potrafię odegrać zagranicznego bosmana, który, popiwszy sobie, przegapił pociąg albo wysiadł na niewłaściwej stacji, bo spotykałem takich nie raz.

Bory sosnowe mają jedną zaletę. Są wprawdzie piekielnie ciemne, ale za to w porównaniu z lasami liściastymi prawie nie mają poszycia. Pierwszy etap mojego marszu okazał się trudniejszy niż przypuszczałem i zrozumiałem, że nie doceniłem wpływu dwóch lat obozu na moją kondycję, ale chociaż dotarcie do drogi zajęło mi prawie pięć godzin a nie trzy, doszedłem do niej i, co z perspektywy czasu wydaje mi się najdziwniejsze, prawie dokładnie w przewidzianym miejscu. Miałem, co prawda kompas, ale myślę, że ważniejsze było to, co, jak powiadają w marynarce, jest najbardziej pomocne w nawigacji: łut szczęścia.

Ulgą było znalezienie się na drodze i możliwość określenia swojej pozycji. Odpocząłem trochę i przekąsiłem, ale nie mogłem sobie zbyt folgować, jeżeli miałem tej nocy dojść do następnego lasu. Możesz sobie wyobrazić mękę tej wędrówki w ciemnościach: było to gorsze od wszystkich wycieczek, które odbywaliśmy razem, za dawnych czasów. Kiedy tylko zobaczyłem światła samochodu, musiałem zakradać się do sadu albo kryć się w rowie, i te przerwy w jednostajnym rytmie marszu stawały się w miarę upływu nocy

coraz bardziej męczące. Parę razy, kiedy zmusiłem się do powstania z rowu, myślałem, że nie uda mi się zmusić nóg do dalszego wysiłku ani pokonać piekącego bólu bąbli na stopach. Mogę ci powiedzieć, że kiedy niebo zaczynało szarzeć, nie zależało mi już na tym, czy mnie złapią, czy nie. Myślałem tylko o tym, żeby przestać iść i napić się wody.

To był mój drugi błąd. Żeby się nie obciążać, nie zabrałem butelki z wodą. Liczyłem na to, że w Europie nigdy nie jest daleko do jakiejś względnie czystej wody. Okazało się, że to nie jest tak, w każdym razie w Europie Wschodniej. Unikałem, rzecz jasna, wsi, a w tym piaszczystym regionie nie ma potoków ani jeziorzek tylko studnie, a te są, oczywiście, w gospodarstwach.

Dotarłem do drugiego pasma lasów bez jakiegoś poważniejszego zagrożenia, chociaż słońce było już wysoko na niebie, kiedy się tam wreszcie znalazłem. Widziałem w pobliżu małe gospodarstwo z bardzo kuszącym korytem do pojenia bydła na pastwisku, ale nie miałem odwagi, żeby się tam podkraść i napić. Był już jasny dzień i chociaż nikogo nie widziałem w pobliżu, obawiałem się psa. Jedyne, co mogłem zrobić, to pokuśtykać w cień lasu i przeżuwać źdźbła rosnącej tu i ówdzie trawy.

Odpoczywałem cały dzień w najchłodniejszym miejscu, jakie mogłem znaleźć. Byłem zbyt odwodniony i chory z wyczerpania, żeby jeść, ale spałem niespokojnym snem człowieka przemęczonego. Pęcherze, bolące mięśnie i wysuszone gardło pobudzają działalność mózgu, podczas gdy wola, czy co tam dobiera i dyscyplinuje myśli, jest zbyt osłabiona, żeby postawić na swoim. Znasz to uczucie, jakby twój umysł był projektorem filmowym, który nagle ożył, przejął kontrolę, wykopał z kabiny operatora i zaczął puszczać całe mile filmu dla swojej własnej diabelskiej rozrywki, z coraz

większą szybkością. Nie pamiętam żadnych szczegółów tych dziennych zmór na skraju sosnowego boru, ale pamiętam ich ciężar na mózgu, ich straszną liczbę i szybkość.

Może właśnie wtedy to się zaczęło: skutek ogromnego wysiłku fizycznego i stresu psychicznego. Nie byłem przygotowany na to, że mogę się załamać. Chyba należało się trzymać Jima Longa.

O zmierzchu pozbierałem się jakoś i wyruszyłem w dalszą drogę, ale ta noc była zupełnie inna. Straciłem wiarę w swoje fizyczne zdolności do wykonania zadania, co było dla mnie wielkim szokiem. Po raz pierwszy w życiu moje ciało odmówiło wykonania rozkazu i pogubiłem się. Zamiast oszczędzać siły, jak na złość przekraczałem swoje możliwości. W tej sytuacji trudno się dziwić, że zboczyłem z trasy. Miałem iść prosto na północ, ale co jakiś czas trafiałem na głębokie jary i wąwozy, które musiałem obchodzić w poszukiwaniu łatwiejszej drogi, kilkakrotnie widziałem światło, ale znajdowałem w sobie dość odwagi i determinacji, żeby je obejść, zamiast pójść prosto i z ulgą się poddać.

Tymczasem zaczęła mnie zawodzić pamięć; moimi jedynymi punktami orientacyjnymi były poręby, a nie pamiętałem, ile ich już przeszedłem, i nie potrafiłem odnaleźć ich na mapie. Zużyłem wszystkie zapalki, usiłując coś na niej odczytać, ale byłem zbyt wyczerpany i przygnębiony, żeby prawidłowo rozumować.

W końcu dotarłem do piaszczystego traktu, dobrze oświetlonego blaskiem księżyca, który wprawdzie odchyłał się nieco na wschód od kierunku północnego, ale równa, prosta i oświetlona droga była zbyt silną pokusą po wybojach ciemnego lasu. Widziałem ślady kół i kopyt końskich, przypuszczałem więc, że droga prowadzi do jakiegoś gospodarstwa, ale było mi już wszystko jedno.

Dźwięk rogu

Z powodu łatwiejszej drogi mój umysł zaczął się uspokajać, a regularny rytm kroków wprowadził mnie w rodzaj automatyzmu. Przypomniałem sobie starą sztuczkę z dzieciństwa, polegającą na powtarzaniu czegoś w tempie marszu, najpierw jakichś bezsensownych fraz a potem wierszy. Znasz balladę o Orzechowej Pannie? Jej cztery linijki pulsowały w mojej głowie jak odgłos silnika, który napędzał mnie przez Bóg wie ile mil:

Człek ścigany zna swe prawa:

Długo nie pożyje,

Gdy dopadnie go obława,

włożą sznur na szyję.

Dziwię się, że przy tej mechanicznej recytacji potrafiłem chwilami zastanawiać się nad sensem tej ballady i odnajdować w niej dziwny nowy patos. Litość dla ściganego przez prawo, nigdy wcześniej o tym nie myślałem. Autor tej ballady wiedział, że bandyci nie byli romantycznymi bohaterami i domagali się tylko litości. Wielkie okrucieństwo wyjęcia spod prawa polegało właśnie na zamknięciu drzwi do współczucia ze strony zwykłych ludzi.

Gdyby mój piaszczysty trakt doprowadził mnie do gospodarstwa, to myślę, że oparłbym głowę o drzwi i błagał wieśniaka o litość, ale na końcu drogi nie było żadnej ludzkiej siedziby.

Doszedłem do miejsca, gdzie ściany lasu rozstały się przede mną. Zatrzymałem się i stwierdziłem, że mój szlak doprowadził mnie do niskiego i szerokiego wzniesienia, pozbawionego drzew i porośniętego szorstką trawą, sięgającą mi do kolan. Często zastanawiałem się później, czy widziałem to w rzeczywistości. Wiem dokładnie, jak to wyglądało w

moich oczach po przejściu na drugą stronę, że tak powiem, ale dałbym wiele, żeby przypomnieć sobie dokładnie, co widziałem moim prawdziwym wzrokiem, którego używam teraz. Kłopot polega na tym, że jak sądzę, tamtej nocy stopniowo traciłem zmysły. Zmęczenie i strach znalazły we mnie szczelinę i pogłębiały ją przez cały czas, aż wreszcie, kiedy doszedłem do tej otwartej przestrzeni, nastąpiło zupełne pęknięcie. Kiedy ziemia otwiera ci się pod nogami, co decyduje, na którą stronę skoczysz?

Księżyc świecił dość jasno. Wydawało mi się, że widzę długi trawiasty grzbiet, biegnący z północnego zachodu na południowy wschód. Trawa bez śladów bydła i ludzi połyskiwała szaro w blasku księżyca, a białe kwiatki tworzyły nad nią mleczną poświatę. Moja droga zanikła. Uświadomiłem sobie, że od pewnego czasu nie widziałem kolein wozu, ale nie pamiętam, gdzie skręciły.

Widocznie do środka tego bezleśnego pasa, zanim się zatrzymałem, bo widziałem las po drugiej stronie, schodzący w dół z łagodnego zbocza. Ale żadne księżycowe światło, przynajmniej w Europie, nie mogło być tak jasne, żebym widział tamten drugi las tak wyraźnie jak w pogodny letni poranek, a był to las zupełnie inny: nie czarny, monotony bór sosnowy, ale jasny liściasty las, złożony z dębów, brzoź, jesionów i biało kwitnących głogów. Kontrast był ogromny, jak między nocą a dniem, więzieniem a wolnością, śmiercią a życiem. I patrząc z mojego wzniesienia, widziałem za czubkami najbliższych drzew po tamtej stronie polanę z blado połyskującym małym jeziorkiem. Wprawienie na powrót moich nóg w ruch było istną męczarnią, czułem się tak, jakby moje mięśnie skamieniały, ale mimo to ruszyłem się i poszedłem prosto na ten błysk wody.

Była jeszcze jedna rzecz, którą zobaczyłem i znów dużo

bym dał, żeby wiedzieć, czyimi oczami ją zobaczyłem, bo w głębi serca wciąż nie jestem przekonany, że to porażenie, którego wtedy doznałem, było rzeczywiste. Wiem tylko, że coś tam zauważyłem, między mną a tym kuszącym lasem, coś zaprzeczającego doświadczeniu, zjawisko, które nie byłoby niczym nadzwyczajnym we śnie, ale nie byłoby też całkiem niemożliwe w rzeczywistości. Czułem, schodząc na obolałych nogach po łagodnym zboczu, że oprócz blasku księżyca mam przed sobą jakieś słabsze światło, jakąś strefę słabej poświaty, rozciągającą się daleko w obie strony, i nie prostą, jak snop światła z reflektora, ale z lekka wijącą się, jakby obrysowywała kontury wzniesienia. Wiem, że to się nie zgadza z prawami optyki, żeby tak słabe źródło światła było widoczne w silniejszym blasku księżyca, a jednak przysięgam, że coś widziałem. Czyżbym już wtedy został pozbawiony praw już nie ludzkich, ale fizycznych?

Nic nie mogło mnie powstrzymać od próby dotarcia do tej wody. Pokonawszy początkową mękę, związaną z ponownym uruchomieniem nóg, puściłem się niepewnym truchtem. Widocznie posuwałem się jak ślepiec, z wyciągniętymi przed siebie rękami, bo to moje ręce pierwsze odczuły wstrząs. Najpierw palący ból przeszył moje dłonie i nadgarstki, potem szok wprowadził w drżenie każdą kość mojego ciała i pognął w górę, uderzając od spodu w kopułę czaszki. Moje oczy poraził boleśnie wybuch żółtego światła, a moje ciało, pozbawione masy i spoistości, uleciało spiralą w mrok.

Rozdział trzeci

Ciało, przy wszystkich jego ograniczeniach, jest czymś, co daje poczucie pewności i bezpieczeństwa i czego warto się trzymać. Przeskoczyłem na drugą stronę, to pewne, ale nadal miałem świadomość drugiej strony. Nie pamiętałem jej w jakichś określonych słowach czy obrazach, tak jak pamięta się wydarzenia ostatniego tygodnia albo któregoś dnia z ubiegłego roku, ale miałem świadomość wcześniejszego istnienia, wiedziałem, że miałem jakieś bogate i skomplikowane życie, zanim ocknąłem się w tym czystym i wygodnym łóżku. Most między tymi dwoma światami stanowiły moje dłonie. Należały ponad wszelką wątpliwość do mnie i trochę bolały. Patrzyłem sobie na nie, jak tak leżą przede mną na kocu, całe schludnie zabandażowane, zupełnie bezużyteczne a jednak bardzo mi bliskie.

Poza lekkim bólem dłoni rzadko kiedy czułem się tak dobrze i spokojnie jak tego ranka, kiedy po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, gdzie ja jestem. Nie był to bynajmniej pierwszy dzień mojej przytomności. Wiedziałem, że przebywam w tym jasnym, przestronnym pokoju, w którym zapach kwiatów mieszał się ze słabszą wonią lekarstw, środków dezynfekcyjnych i pasty do podłóg, od pewnego czasu. Białe drzwi i ramy okienne, ładne zasłony i białe

drewno mebli były mi dobrze znane, podobnie jak twarze dwóch pielęgniarek, opiekujących się mną od dłuższego czasu. Po prostu tego dnia dokończyłem łagodnego przechodzenia od biernego postrzegania do czynnej obserwacji.

Gdyby nie to, że pielęgniarki były w szpitalnych uniformach, sądziłbym, że jestem w domu prywatnym: pokój w swojej pociągającej czystości był zbyt przytulny jak na salę któregośkolwiek ze znanych mi szpitali. Nakrycia, szklanki, instrumenty medyczne też nie miały tych charakterystycznych dla szpitali znamion częstego używania, a jedzenie było o wiele za dobre. Lekki powiew wiatru, wpadający przez otwarte okno, rozwiewał zasłony, i kiedy siostra dzienna opierała mnie rano na poduszkach, widziałem zielone czubki drzew i błękitne niebo, a donośny śpiew ptaków słyszałem od świtu do zmroku.

Ręce miałem wciąż nie do użytku, pielęgniarka kroїła mi jedzenie i karmiła mnie łyżką. Goliła mnie też i myła, robiąc wszystko z zawodową wprawą i uśmiechem.

Poznałem pielęgniarki wystarczająco, żeby nie oczekiwać łatwego i pełnego zaspokojenia swojej ciekawości, mimo to tego dnia spytałem ją, gdzie jestem i usłyszałem, oczywiście, natychmiastową żartobliwą odpowiedź: – W łóżku! – Wydaje mi się, że wszystkie pielęgniarki na świecie wyznają zasadę, że najmniejszy przejaw życia umysłowego pacjenta utrudnia im pracę albo stanowi zamach na ich wszechwładzę. Jednak spróbowałem jeszcze raz i spytałem ją o imię.

– To nie ma znaczenia – odpowiedziała. – Wystarczy mówić do mnie siostró.

Ale i ta odpowiedź dała mi do myślenia. Mówiła po angielsku i to bardzo dobrze, ale z niemieckim akcentem. To umocniło pomost do tego bardzo mglistego i odległego drugiego świata.

Zacząłem metodycznie i spokojnie analizować swoje spostrzeżenia. Brałem, rzecz jasna, pod uwagę, co mogło mi się przydarzyć, ale zupełnie mnie to nie niepokoiło. Wpadłem na ten pomysł a potem odłożyłem go jako możliwość, którą czas potwierdzi, albo nie. Przeczuwałem, że będę miał bardzo dużo czasu. Wrażenie, że spędziłem dobrych parę dni w stanie półprzytomnym, było tak silne, że właściwie równało się pewności. Poza tym, miałem konkretny dowód, że od mojego wypadku upłynęło więcej czasu niż nawet przypuszczałem, bo czułem w dłoniach już tylko swędzenie i czasem pulsowanie, podczas gdy moja pamięć zachowała z tamtego świata niezwykle żywe uczucie intensywnego bólu, kiedy dotknąłem tego piekielnego płotu czy co to było. Odniosłem niewątpliwie ciężkie oparzenia, teraz moje dłonie były prawie całkowicie zagojone, potwierdziły to moje obserwacje przy zmianie opatrunków. W krótkim czasie nawet blizny znikły prawie całkowicie, teraz prawie nie ma po nich śladu.

To dawało mi przynajmniej jakąś miarę upływu czasu. Nie mając wiedzy medycznej nie mogłem dokonać dokładnej oceny, ale zdrowy rozsądek i zwykłe doświadczenie podpowiadały, że upłynęło nie mniej niż trzy do czterech tygodni. Potwierdzał to stan moich stóp: zagoiły się wszystkie moje pęcherze, a wiem dość dobrze, ile goi się taki pęcherz.

Niełatwo było określić swoje położenie w przestrzeni. Jeżeli znajdowałem się w takiej instytucji, jak podejrzewałem, nie mogłem liczyć na uzyskanie najprostszyc odpowiedzi. Pielęgniarki zbywałyby mnie najbardziej nedorzecznymi łgarstwami. Należało zatem zachowywać się spokojnie i wykorzystywać wzrok, zbierając nieśpiesznie w ciągu długich dni dane, aż będę mógł z nich wyciągnąć jakieś wnioski.

Zacząłem, oczywiście, od swoich pielęgniarek, a właściwie od siostry dziennej. Tę nocną widywałem przez kilka minut po

zachodzie słońca i czasem przelotnie wczesnym rankiem. Sypiałem dobrze i nigdy nie musiałem jej wzywać. Siostra dzienna natomiast była niewątpliwie Niemką i równie niewątpliwie profesjonalistką, a jednak nie wierzyłem, że może być pielęgniarką wojskową albo pracować w publicznym szpitalu cywilnym. Coś mi w niej nie pasowało. Nie chodziło tylko o to, że jej znakomita znajomość angielskiego wskazywała na lepsze wykształcenie niż to, którym zwykle wykazują się pielęgniarki, ostatecznie na świecie jest niemało osób dwujęzycznych. Myślę, że rzecz była w jej stroju. Był zbyt elegancki, zbyt indywidualny, podobnie jak i sam pokój. Niewątpliwie był to strój służbowy, czyściutki i elegancki, przywodzący na myśl higienę i dezynfekcję, a jednocześnie ładny, noszony z wdziękiem i myślą o tym, żeby się podobać, na co nie pozwoliłby żaden szpital publiczny ani nawet prywatny dom opieki.

Byłem też pewien, że w żadnej publicznej instytucji pielęgniarki nie mogłyby poświęcać mi tyle uwagi ani okazywać tyle troski, rzecz jasna, w zakresie swoich obowiązków. Te dwie nie sprawiały wrażenia przepracowanych, prawdę mówiąc, wkrótce nabrałem przekonania, że jestem ich jedynym pacjentem. Pielęgniarka dzienna spędzała przy mnie mnóstwo czasu i nigdy nie słyszałem wzywającego ją dzwonka. Właściwie poza głosami moich pielęgniarek, cichymi krokami na wyfroterowanych drewnianych podłogach i śpiewem ptaków za oknem od pewnego czasu nie słyszałem żadnych innych dźwięków.

Myślę, że to ta nienaturalna cisza w pierwszych kilku dniach przekonała mnie, że jestem w prywatnym zakładzie dla umysłowo chorych. Zadowolilem się tą identyfikacją miejsca i postanowiłem spróbować za pomocą tej samej metody obserwacji i dedukcji ustalić, jak się tu znalazłem i dlaczego

jestem traktowany jak zamożny prywatny pacjent a nie jak jeniec wojenny, bo nie miałem jakiejś całkowitej amnezji: przez cały czas wiedziałem, że jestem oficerem Marynarki Królewskiej oraz pamiętałem swoje nazwisko, nazwę okrętu i numer obozu.

Wypytywanie siostry dziennej okazało się zupełnie bezcelowe, chociaż usiłowałem to robić najsubtelniej, jak umiałem. Nie była małomówna, ale miała szczególny talent zachowywania się jak osoba pogodna i rozmowna, nie mówiąc jednocześnie nic, co nie odnosiłoby się do spraw mojego ciała.

Pojawił się tylko jeden fakt: powiedziała mi, że znajdujemy się w miejscu o nazwie Hackelnberg. Miałem nad czym myśleć przez cały dzień. Był to zadowalający, konkretny fakt, ale nie prowadził mnie do żadnych wniosków albo raczej prowadził mnie do innego niewyjaśnionego faktu. Stwierdziłem z wielką przyjemnością, że kiedy się skoncentruję, potrafię w umyśle odtworzyć stopniowo całą mapkę, otrzymaną od komitetu ucieczkowego, i mając tę mapę przed zamkniętymi oczami, upewniłem się, że nie było na niej nazwy Hackelnberg. Widocznie zatem zostałem przewieziony dalej niż czterdzieści mil od Oflagu XXIX Z, bo tyle wynosił zasięg mojej mapki.

Nie widziałem potrzeby wyciągania od siostry dziennej, czy wie, że jestem brytyjskim jeńcem wojennym. Mówiłem po angielsku od chwili odzyskania przytomności a także niewątpliwie bredziłem w tym języku wcześniej. Doktor pewnie zawiadomił policję, przyjechali zapewne oficerowie wywiadu, wyobraziłem sobie dwóch esesmanów, grzebiących w moim skromnym bagażu, oglądających papiery, mapę, kompas w guziku, które powiedziały im wszystko, a potem, po rozmowie z doktorem przyjmujących jego diagnozę co do stanu mojego umysłu i zostawiających mnie tutaj.

Tak, tylko pod czyją opieką? Do kogo należało to miejsce?

Dlaczego jego zarządcy czy właściciele mieliby się mną zajmować? Podobne miejsca nie są na ogół prowadzone przez filantropów. Godzinami zastanawiałem się nad tymi pytaniami i jedynym skutkiem tego był cień powątpiewania, czy rzeczywiście jestem w prywatnym zakładzie dla umysłowo chorych. Jeżeli tak, to najbardziej prawdopodobnym powodem mojego tu pobytu było uznanie mnie przez doktora za szczególnie interesujący przypadek; byłbym więc trzymany tu i leczony z ciekawości naukowej. Ale teraz dopuszczałem „jeżeli”. Jeżeli nie był to zakład psychiatryczny, mógł to być tylko dom jakiejś bogatej osoby, obdarzonej ekscentrycznym darem współczucia, a także posiadającej znaczne wpływy we władzach, może niepełnosprawnej, co wyjaśniałoby zarówno obecność wykwalifikowanych pielęgniarek jak ich nieoficjalny wygląd i zachowanie.

Powiedziałem „osoby bogatej”, bo w całej atmosferze tego domu wyczuwało się bogactwo. Nie dostrzegłem w pokoju nic starego ani niesprawnego. Tak elegancko ubrane i uczesane pielęgniarki były bez wątpienia dobrze płatne, nieskazitelna czystość podłóg i wysoki połysk nawoskowanych mebli zdradzał dostatek służby, a wiedziałem, że same pielęgniarki nie zajmują się sprzątaniami, i chociaż świadomie tego nie obserwowałem, wkrótce dowiedziałem się, kto tu sprząta. Widywałem go wcześniej rano: był to przysadzisty młody człowiek, w milczeniu z wielkim zapalem froterujący na kolanach lśniąca podłogę. Po tym, co nazywam swoim pełnym przebudzeniem, przyglądałem mu się bliżej. Był umięśniony i dobrze odżywiony, i chociaż przez większość czasu odwracał głowę, parokrotnie widziałem jego twarz. Była gładka i bez wyrazu, miał krótko przystrzyżone kasztanowe włosy i jasnoniebieskie oczy. Masywność jego ciała, tępota i cielący wyraz twarzy przy czworonożnej postawie nadawały mu

wygląd silnego i łagodnego udomowionego zwierzęcia, jakiegoś wołu roboczego, co podkreślał jeszcze jego strój tego ranka, kiedy na niego zwróciłem uwagę. Nie miał na sobie koszuli tylko dość obcisłe spodnie z jakiegoś dobrego, solidnie wyglądającego brązowego materiału i parę dobrych butów, zrobionych ni to z gumy, ni to z jakiejś nieznanej mi sztucznej skóry. Sprawiały wrażenie mocnych, elastycznych i wygodnych.

Odezwałem się do niego pod nieobecność pielęgniarzki, ale równie dobrze mógłbym zagadać do zwierzęcia. Mimo to nietrudno było zgadnąć, kim jest. Niemiec w jego wieku nie mógłby być zatrudniony jako służba domowa: służyłby w wojsku albo pracował w fabryce amunicji. W każdym innym kraju powiedziałbym, że to jeńiec wojenny, ale znajdowałem się w Niemczech i znałem niemiecki system wykorzystywania pracy niewolniczej z krajów okupowanych w prywatnych gospodarstwach. Ten człowiek był niewątpliwie zatrudnionym tu słowiańskim jeńcem, wyglądał na muzyka.

Po tym, jak przyjrzałem się tak dobrze jego butom i spodniom, zacząłem baczniej obserwować inne materiały w moim otoczeniu i znalazłem pewne zaskakujące rzeczy. Nie twierdzę, że jestem znawcą tematu, ani że w ogóle zwracałem uwagę na tkaniny, ale te wokół mnie wyglądały na wyjątkowo kosztowne. Moja piżama, na przykład, była z jedwabiu albo z materiału, którego nie potrafiłem odróżnić od jedwabiu; pościel była z najlepszego lnu, narzuta też z jedwabiu, porcelana, na której jadałem, była wyszukana, a szkło... obejrzałem szklankę i inne naczynia na stoliku i doszedłem do wniosku, że to nie szkło tylko jakiś znakomity plastik, dający się ciąć i polerować jak szkło, ale nie ulegający stłuczeniu. Sprawdziłem to, strącając zabandażowaną ręką jedno z delikatnych naczyń na podłogę. Nic mu się nie stało.

Podobne drobiazgi robią na człowieku wrażenie, bo stanowią przekonywający dowód wysoko rozwiniętego przemysłu i materialnego bogactwa, które umożliwia ludziom posługiwanie się wyłącznie nowymi i doskonałymi przedmiotami. Niemcy oczywiście słynęły z przemysłu chemicznego, plastyku i włókien syntetycznych, ale widok takiej obfitości w życiu cywilnym po bez mała czterech latach wojny był przygnębiający.

Natomiast meble i podłoga nie były zrobione z jakiejś syntetycznej żywicy, mleka czy pulpy drzewnej, ale z naturalnego drewna, zachowującego w swojej fakturze piękno i różnorodność lasu. Widać było, że zostały dobrane i obrobione z miłością. Zaczynałem poznawać charakter właściciela tej posiadłości. Był to ktoś niewątpliwie bogaty, pewnie stary junkier albo jakiś książę, którego naziści postanowili zostawić w spokoju; ktoś, kto nie tylko mógł sobie pozwolić na najlepsze produkty przemysłu, ale jeszcze miał dość gustu, żeby je połączyć z najlepszym wiejskim rzemiosłem, wykorzystującym materiały naturalne. Niewątpliwie był miłośnikiem wszystkiego, co wiązało się z lasem.

Możesz uznać, że było w tym tyleż domysłów co dedukcji. Zapewne Sherlock Holmes dowiedziałyby się znacznie więcej na podstawie obserwacji jednego pokoju i trzech osób, ale pochlebiam sobie, że w ogólnych zarysach miałem rację.

Pierwsze potwierdzenie przyszło ze strony, z której się najmniej spodziewałem: od pielęgniarki nocnej, bo moje rozmowy z nią ograniczały się do dzień dobry i dobry wieczór. Ale dziwniejsze było to, co wywołało jej reakcję.

Wspomniałem już, że podstawę do moich rozważań dała mi niezwykle cisza panująca w tym miejscu. Pasowała ona do teorii, że jestem gościem, gościem-więźniem, jeśli chcesz, w

jakiejś wiejskiej rezydencji. Posiadłość była niewątpliwie rozległa. Jak rozległa, nie miałem pojęcia, bo nawet kiedy pod nieobecność pielęgniarki dowlokłem się do okna, nie widziałem nic poza najbliższymi drzewami i gęstą zielenią. Nie słyszałem też żadnych odgłosów pojazdów, choćby odległego klaksonu samochodowego lub gwizdka lokomotywy. Nie słyszałem nawet samolotu, co w Niemczech tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku wydało mi się bardzo dziwne. To prawda, że Trzecia Rzesza w tym stadium swojej ekspansji terytorialnej była znacznie rozleglejsza od Anglii i we Wschodnich Niemczech lotniska mogły być bardziej od siebie oddalone niż na przykład we Wschodniej Anglii w tym czasie a Hackelnberg leżał zapewne poza zasięgiem naszych bombowców, bo w moim pokoju nie było rozet zaciemniających ani nie stosowano żadnych środków ostrożności co do światła, a z tego, co mówiły pielęgniarki nie sposób było wywnioskować, że one w ogóle wiedzą o toczącej się wojnie. Uważałem to za celowe unikanie tematów, które mogłyby mnie zdenerwować, bo ilekroć wspomniałem coś o wojnie, siostra dzienna udawała zupełne niezrozumienie, mówiła, żebym nie zawracał sobie głowy starymi historiami i próbowała zainteresować mnie kwiatami.

Potem, w jakiś tydzień po tym moim pełnym przebudzeniu, zacząłem słyszeć nowe dźwięki. Dłonie prawie całkowicie mi się zagoiły i czułem się doskonale. Chciałem już wstać, nudziło mnie leżenie przez cały dzień w łóżku. Skutek był taki, że nie sypiałem już twardo w nocy.

Początkowo sądziłem, że te dźwięki są częścią snu, bo słyszałem je w stanie półświadomości, potem znów zasypiałem i pamiętałem je dopiero rano. Były to dalekie, pojedyncze odgłosy nie mające żadnego związku z uporządkowanym życiem wokół mnie. Słyszałem odgłosy

rogu, rozlegające się w dużych odstępach czasu, każdy tak samotny w mroku nocy i w zupełnej ciszy, jak samotny żagiel na bezmiarze morza. Słyszałem w życiu trąbkę wojskową w ciemnościach i samotności nocy na morzu, znam dźwięk angielskiego rogu myśliwskiego i wiem, że ich głos potrafi czasem ścisnąć człowieka za serce. Ale to było co innego. Nie potrafiłem wyobrazić sobie sytuacji, w której ta muzyka się rodziła, czułem tylko jej głęboką melancholię, szaleństwo i obcość. W otępieniu pół snu, pół jawy odbierałem jej rozpaczliwy smutek i ból.

Nawet pogodny dzień długo nie mógł mnie uwolnić od wspomnienia tego głosu i następnej nocy nie mogłem zasnąć, oczekując na jego powrót i jednocześnie mając nadzieję, że to się nie powtórzy.

Pewnej nocy usłyszałem róg jeszcze przed zaśnięciem, nie mogłem więc mieć wątpliwości czy to jawa, czy sen. Noc była jasna, księżyc zbliżał się do pełni i po niebie pływało zaledwie parę białych chmurek. Wyślizgnąłem się z łóżka i nasłuchiwałem przy otwartym oknie. Wiał wiatr, splatając się z melodią rogu. Raz przynosił ją w moją stronę, potem zmieniał się i oddalał ją gdzieś w inne strony. Te przypyływy i odpływy nadawały głosom rogu jakąś nową jakość tej nocy. Nadal był w nim smutek i ból, ale teraz dominowała dzikość. Róg jakby błąkał się po lesie szukając czegoś i nawołując, chwilami z szaleńczą zawziętością a chwilami z długą, gasnącą nutą zawodu.

Głosy wypełniały tę noc. Las był rozkołyszany niczym ocean. Wiatr szumiał w bukach przed moimi oknami, drzewa rozmawiały mnóstwem języków, grała cała leśna orkiestra z solową partią rogu. Wyobrażałem sobie najróżniejsze dźwięki i instrumenty w tym chórze żywiołów; fantazja zmieniała zawodzenie kołyszących się gałęzi w skomlenie ogarów, a

nagły szelest liści na wietrze w odgłos przebiegającej sfory. Stałem tak przez dłuższy czas, zasłuchany, wyławiając przede wszystkim dźwięk rogu i czułem narastający niepokój. Nie był to smutek, jaki muzyka rogu wywołała we mnie poprzednio, ale lęk, oczekiwanie, to paraliżujące poczucie zagrożenia, jakiego czasem doznajemy, zanim jeszcze odkryjemy, z której strony i jakie niebezpieczeństwo nam zagraża.

Słuchałem, póki głos rogu nie zamarł w oddali i nie mogłem go już wyodrębnić z zawodzenia i szumu drzew, a potem wślizgnąłem się na powrót do łóżka i długo leżałem, zapatrzony w rozświetlony blaskiem księżycy prostokąt okna, wyczekując na powrót znajomego dźwięku, aż w końcu zasnąłem.

Przed świtem byłem znów na nogach, wyrwany ze snu przez głośny i bliski dźwięk rogu. Wiatr ucichł, księżyc zaszedł, na dworze było szaro i cicho. Nagle usłyszałem w pierwszych promieniach świtu tryumfalny ryk rogu. Wychyliłem się z okna i próbowałem przebić wzrokiem zasłonę zieleni: powtarzające się raz po raz dźwięki przemieszczały się w lesie niedaleko od mojego okna, zmierzając gdzieś na prawo ode mnie.

Kątem oka dostrzegłem białą postać, poruszającą się w półmroku mojego pokoju i podskoczyłem ze strachu, zanim nie rozpoznałem nocnej pielęgniarki.

- Proszę wracać do łóżka! - szepnęła tonem tak rozkazującym, jakiego nigdy dotąd u niej nie słyszałem, po czym stanęła plecami do okna, odgradzając mnie od niego, jakby się bała, że chcę wyskoczyć, a jednocześnie widziałem, że słucha w napięciu tych wspinających się tryumfalnych dźwięków rogu, oddalających się teraz w gęstwinie lasu.

- Co to jest? - spytałem, kiedy posłusznie położyłem się i przykryłem. Całkiem niespodziewanie udzieliła mi prostej,

poważnej odpowiedzi:

– To graf wraca do domu.

Byłem pewien, że powiedziała prawdę. Na chwilę zapomniała, że jestem jej pacjentem i pozwoliła, żeby w jej głosie zabrzmiała nuta niejasnego lęku, który i ja odczuwałem, słuchając rogu poprzedniej nocy.

– Graf? – spytałem. – Kto to jest?

Podeszła i spojrzała na mnie z góry, tak że ledwo rozróżniałem jej rysy w bladym świetle od okna. Powiedziała coś cicho po niemiecku a potem przetłumaczyła na angielski:

– Graf Johann von Hackelnberg.

– A kim on jest? – nalegałem, chcąc wykorzystać fakt, że z przestachu pielęgniarka potraktowała mnie jak osobę normalną. Teraz jednak umilkła i mierzyła mnie krytycznym spojrzeniem, jakby moja niewiedza przypomniła jej, że jednak nie jestem kimś normalnym. Mimo to odpowiedziała:

– Graf jest wielkim łowczym Rzeszy.

– Naprawdę? – spytałem. – Myślałem, że tę funkcję pełni marszałek Goering.

Równie dobrze mogłem wymienić imię naszego kota okrętowego. Przeszła jej już chwila szczerości i znów udawała, że cały współczesny świat nie istnieje, co było najwidoczniej częścią mojej kuracji. Powtórzyła nazwisko z nieobecny wyrazem twarzy, myśląc wyraźnie o czymś innym. Potem z wysiłkiem wróciła do zwykłego dziarskiego tonu i poprawiła mi poduszki.

– Już dosyć! – rozkazała. – Musi pan spać. Nie wolno panu wstawać tak wcześnie. To niezdrowo. – I energicznie wyszła z pokoju.

Za dnia rozpatrzyłem całą sprawę z pewną satysfakcją. Wreszcie miałem jakieś konkrety. Było dla mnie nowością, że Hermann Goering zrezygnował z jednej ze swoich funkcji, i nie

zdziwiłem się zbytnio, że nie wiedzieliśmy o tym w oflagu. Pewne było natomiast, że jestem gościem wielkiego łowczego Rzeszy i to wyjaśniało prawie wszystko. Tyle że ten hrabia von Hackelberg musiał być niezłym ekscentrykiem, żeby urządzać sobie polowania przy świetle księżyca. Nietrudno przecież skrócić kark, pomyślałem, ale zaraz przypomnieli mi się nasi angielscy dziwacy z osiemnastego wieku. Może zresztą to, co słyszałem, nie było wcale polowaniem, ale pijacką przejażdżką, brawurowym popisem młodych nazistów, podochoconych winem, ze starym grafem zagrzewającym ich głosem rogu. Było to prawdopodobne wyjaśnienie, jednak nie do końca przekonujące. Ten róg odzywał się zbyt często, trwało to wszystko za długo i pielęgniarzka nie wyglądała na kogoś zaszokowanego wybrykami pijanej kompanii. Ten powrót do domu nie był dla niej czymś nowym i dobrze wiedziała, czego się boi.

Rozdział czwarty

Siostra dzienna wkroczyła ze śniadaniem i zauważyłem wyraźną zmianę w jej zachowaniu. Była strasznie ważna i niezdolnie władcza. Nie zaskoczyło mnie szczególnie, kiedy uprzątnąwszy moje nakrycie i poprawiwszy i tak nienaganny porządek na stoliku nocnym, oświadczyła, że przyjdzie zobaczyć mnie doktor. Wprawiła mnie w niepokój, nadając tej wizycie tak niezwykle znaczenie, ale potem, jakby chciała mi wynagrodzić swoją surowość, zdradziła mi, że doktor może mi pozwolić wstać, jeżeli uzna mój stan za zadowalający. Zostałem ogolony i umyty, dostałem świeżą piżamę i pościel, nieskazitelnie czysty pokój został sprzątnięty, pojawiły się świeże kwiaty, a lśniąca podłoga została doprowadzona do superblasku przez barczystego niewolnika, który wykonywał swoją pracę jak maszyna. W końcu pielęgniarka dzienna zdjęła mi z dłoni bandażę, przygotowała sterylizator i różne lśniące narzędzia, po czym na odgłos cichych kroków z korytarza wyprężyła się na baczność przy moim łóżku.

Doktor wkroczył, nucąc jakąś dziarską melodię, rozejrzał się po pokoju, a potem zwrócił się do pielęgniarki, która trwała bez ruchu ze szklanym wzrokiem. Widywałem w Anglii pielęgniarki, przesadzające z „Tak jest, panie doktorze”, i zapoznałem się nieco z niemiecką dyscypliną, ale to tutaj biło

wszystkie rekordy pruskiego drylu. Bosman, odpowiadający na pytania podczas inspekcji, to było nic w porównaniu z pielęgniarką dzienną: stała sztywna niczym szklana figura, a jej lakoniczne odpowiedzi brzmiały jak uderzenia pejcza. Tymczasem doktor nie miał w sobie nic z oficera. Cały rozluźniony, mierzył pielęgniarkę leniwym spojrzeniem, bardziej zainteresowany jej figurą niż tym, co mówi. Był młodym mężczyzną z pulchną twarzą, zdradzającą inteligencję, ale również poczucie wyższości i skłonność do folgowania sobie. Ubrany był w białe spodnie, kremową jedwabną koszulę i luźno zawiązaną na szyi kolorową chustkę. Mogłem sobie wyobrazić, że zostawił za drzwiami tenisową rakietę.

Wysłuchawszy raportu pielęgniarki i rzuciwszy okiem na wykres temperatury, spojrzał ze ściągniętymi brwiami na mnie, po czym pokiwał głową, raczej zadowolony z siebie. Zbadał mnie pobieżnie: wysłuchał serca, zmierzył puls, uniósł mi powieki i zajrzał w oczy, w końcu popatrzył uważnie na moje dłonie, wyprostował się i powiedział bardzo dobrą angielszczyzną:

– Może pan już wstać. Zapraszam na rozmowę do mojego gabinetu.

Siostra dzienna odtajała, jak tylko zamknęły się za nim drzwi i szczęśliwa, że tortura dobiegła końca, stała się prawie wylewna. Przyniosła mi wytworny brokatowy szlafrok i pantofle z tej samej miękkiej sztucznej skóry, z jakiej były zrobione buty posługacza.

Mimo dobrego samopoczucia po tak długim leżeniu kolana miałem rzecz jasna jak z waty i byłem wdzięczny siostrze dziennej za pomoc. Po raz pierwszy wyszedłem ze swojego pokoju i musiałem powstrzymać swoją niecierpliwość w poznawaniu otoczenia. Musiałem zadowolić się pośpiesznym

spojrzeniem, bo gabinet doktora znajdował się niedaleko, zaraz za szeroką werandą. Zorientowałem się jednak, że mój pokój zajmował narożnik rozległego, parterowego budynku z drewna, wzniesionego na wysokiej podmurówce z cegły. Las podchodził pod sam dom, nie było żadnego ogrodu, tylko porastająca przestrzeń między drzewami trawa.

Okno gabinetu doktora było bardziej ocienione niż moje, światło dochodziło tu przez gąszcz liści, ale białe ściany i wypolerowane drewno sprawiały, że pokój robił wrażenie jasnego. Wyglądał jak skrzyżowanie gabinetu lekarskiego z pokojem pracy: pod ścianami stały na zmianę szafki z książkami i z instrumentami lekarskimi, a środek pokoju zajmowało wielkie drewniane biurko. Doktor zaprosił mnie, żebym usiadł w fotelu koło biurka, a sam zwrócił się w swoim obrotowym fotelu w moją stronę, skinieniem głowy zwalniając siostrę.

Podajrzewam, że byłem tego ranka bardziej rozmowny, niż przystoi jeńcowi wojennemu. Po denerwującym „dodawaniu mi ducha” przez siostry rozmowa z kimś, kto przynajmniej pozornie traktował mnie jak osobę zdrową i normalną, stanowiła wielką ulgę. Niewątpliwie było to z mojej strony naiwnością, ale nie przyszło mi wtedy do głowy, że doktor zachęca mnie do mówienia, żeby się czegoś o mnie dowiedzieć; uważałem, że chodzi mu o przyjemną pogawędkę. Odniosłem wrażenie, że nie ma zbyt dużo pracy, jest znudzony i cieszy się z widoku kogoś nowego. Zapomniałem, ile on już o mnie musi wiedzieć. Nie wiem, ile zasad bezpieczeństwa złamałem, ale pod wpływem jego zainteresowania i pytań opowiedziałem mu całą historię mojej ucieczki, nie ujawniając tylko, że razem ze mną uciekł Jim Long. Podczas gdy mówiłem, doktor bawił się ołówkiem, ale nie robił żadnych notatek. Kiedy skończyłem, zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

Chyba dopiero wtedy, kiedy w odpowiedzi zająrzałem mu w oczy, uświadomiłem sobie jakieś wyrachowanie w jego zachowaniu, przeczące początkowemu wrażeniu szczerości i otwartości.

- Niech mi pan powie - wyrzuciłem z siebie - dlaczego nie przekazał mnie pan policji? Przecież przyznałem się, że jestem brytyjskim jeńcem.

- Policji? - powtórzył w zamyśleniu. - To nie jest konieczne. Wielki łowczy ma pełnię władzy w lasach Rzeszy.

- Ale ja jestem jeńcem wojennym - nalegałem. - Powinienem podlegać prawu wojskowemu.

- Ja, ja - powiedział. - Rozumiem. Nie ma pośpiechu. Musimy najpierw postawić pana na nogi.

Rozgniewało mnie to, bo rozpoznałem tę samą nutę uspokajania szaleńca, którą stosowały pielęgniarki.

- Uważa pan, że jestem szalony, prawda? - spytałem wyzywająco.

- Drogi przyjacielu - odpowiedział i coś we mnie zazgrzytało na dźwięk tych słów, wypowiedzianych z niemieckim akcentem. - Drogi przyjacielu, wcale nie uważam pana za szaleńca. Co nie znaczy, że specjalnie by mnie martwiło, gdyby pan nim był. Pański przypadek interesuje mnie od strony fizjologicznej. Został pan porażony promieniowaniem Bohlena. Zazwyczaj kończy się to zgonem, ale pański organizm zareagował na moją terapię. Jestem z pana zadowolony. Z mojego punktu widzenia jest pan wyleczony, potrzebuje pan jeszcze tylko trochę czasu i ćwiczeń rehabilitacyjnych.

- Ale uważa pan, że jestem niezrównoważony? - upierałem się. - Choć nie interesuje to pana jako lekarza, to jednak wie pan, kiedy człowiek jest szalony.

Spojrzał za okno i opuścił kąciuki ust, jakby moje pytanie

było nieistotne albo jakby odpowiedź na nie była niemożliwa. Potem znudzonym tonem, nonszalancko powiedział:

– Musiało powstać jakieś mózgowie zakłócenie. Czasowa amnezja byłaby czymś normalnym i można by się spodziewać jakichś urojeń. Wygląda na to, że w pańskim przypadku przybrały one formę przekonania, że żyje pan w przeszłości. Zapewne dużo pan czytał o okresie Wojny o Prawa Niemiec, prawda?

– Przeszłości? – wyjąkałem zaskoczony. – Tak...

– Na pańskim miejscu nie przejmowałbym się – przerwał mi beztrzesko. – To minie. – Przyjrzał mi się z tą samą obojętną uwagą, z jaką oceniał siostrę dzienną, zainteresowany wyłącznie moim stanem fizycznym. – A jak nie, to co? Ważne, że odzyskał pan władzę w ciele. Nie sądzę, żeby znalazł pan tu kogoś szczególnie zaintrygowanego stanem pańskiego umysłu.

Chociaż przejrzałem już początkową pozorną serdeczność jego zachowania, brutalność tej uwagi zaskoczyła mnie. Mimo zaskoczenia i zaniepokojenia tym, co powiedział na temat moich urojeń, nadal byłem przekonany o swojej normalności i postanowiłem odpowiedzieć na jego brutalność spokojem.

– Nie jestem tak zarozumiały, doktorze, żeby sobie wyobrażać, że stan mojego umysłu interesuje kogoś poza mną. Ale jestem panu winien podziękowanie za tak dobrą troskę o moje ciało. Jest teraz w całkiem dobrym stanie i zastanawiam się tylko, jakie ma pan co do niego plany, skoro już je pan zreperował. Czy będę traktowany jak jeńiec wojenny, czy nie?

Pochylił się nad biurkiem, oparł brodę na rękach i z uniesionymi brwiami przyglądał mi się z jakimś niepokojącym zadowoleniem.

– Wie pan, lubię pana – powiedział. – Rozmowa z panem działa na mnie odświeżająco. Poza tym, podejrzewam, że umie

pan słuchać i będę mógł poćwiczyć trochę mój angielski. Nie wiem, co graf zamierza z panem zrobić, ale tutaj, w szpitalu, ja jestem fuehrerem, a że lubię pańskie towarzystwo, przetrzymam pana tutaj jak najdłużej. Nie ma pan pojęcia, jak przygnębiające jest być jedynym intelektualistą wśród sportowców i niewolników. Jestem pewien, że pobudzi mnie pan do poczynienia wielu obserwacji na temat tej instytucji i na szczęście pańskie... powiedzmy niedomaganie, pozwoli mi wypowiadać się stosunkowo szczerze. Może pan zatrzymać swój pokój, dopóki nie będę go potrzebował dla innego przypadku, ale proszę, żeby zechciał pan zaszczyścić mnie swoją obecnością przy moim stole. Postaram się pokazać panu tyle z tej posiadłości, na ile pozwolą okoliczności, ale muszę pana ostrzec przed wychodzeniem bez towarzystwa, zwłaszcza nocą. Byłbym niepomrotnie zasmucony, gdyby mój pierwszy prawdziwy sukces w leczeniu skutków promieni Bohlena został poddany amatorskiej sekcji przez psy grafa albo te inne stworzenia, które tu trzyma.

Wstał, szybko obszedł biurko i z uśmiechem klepnął mnie po plecach.

- Niech więc pogodzi się pan z fortuną wojenną, herr lieutenant, jak przystało na żołnierza z tamtych bohaterskich czasów, w których pan żyje, i spożyje ze swoim wrogiem kawałek pieczeni pod butelkę Bordeaux punktualnie o wpół do pierwszej. Ach so! – wykrzyknął. – Muszę znaleźć panu jakieś ubranie. Pańskie, jak sędzę, poszło do pieca.

Pochylił się i mówił coś cicho do małego urządzenia na biurku.

Kiedy był tak zajęty, wstałem i obejrzałem sobie piękny elektryczny zegar na bibliotece, który doktor wskazał, zapraszając mnie na lunch. Był to piękny instrument, łączący zegar z termometrem i barometrem a także ukazujący w

oświetlonych wycięciach jakieś liczby, których nie rozumiałem. Po chwili dotarło do mnie, że oznaczają one dzień miesiąca, niewątpliwie dwudziesty siódmy lipca. Ale poniżej widniała liczba „102”.

W tym momencie podszedł do mnie doktor.

- Ach so - powiedział. - Widzę, że podziwia pan mój chronometr. Jako oficera dawnej marynarki powinno to pana zainteresować. Czy coś pana w nim dziwi?

Wskazałem małą liczbę „102”.

- Ach, ja. Pokazuje też rok. Właściwie niepotrzebnie.

- Rok? - powtórzyłem zdziwiony.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem, a potem przeprosił z przesadną uprzejmością.

- Czasem trudno się zrozumieć, kiedy dwaj ludzie żyją jednocześnie w różnych stuleciach. Proszę mi wybaczyć, powinienem wyjaśnić, że ja, oczywiście z czysto praktycznych względów, wyznaję teorię, że żyjemy w sto drugim roku Pierwszego Niemieckiego Tysiąclecia, zapoczątkowanego przez naszego Pierwszego Fuehrera i Nieśmiertelnego Ducha Niemieckości, Adolfa Hitlera.

Rozdział piąty

Teraz mnie dziwi, że zachowałem tak niewzruszoną wiarę w swoje zdrowie psychiczne przez cały czas pobytu w Hackelnbergu. Może udało mi się to dzięki swego rodzaju zawieszeniu sądu: znalazłem się w środku dziwnych wydarzeń, dla których nie znajdowałem zadowalającego wytłumaczenia, ale jakieś wytłumaczenie musiało istnieć i miałem poczucie, że znajdę je drogą cierpliwych obserwacji i logicznego rozumowania. Czułem w sobie ogromne zapasy cierpliwości. Może była to pozostałość po obozie jenieckim: nie można zaplanować i wykonać podkopu bez wrodzonej albo wyćwiczonej cierpliwości. Mimo to dziwię się, z jaką łatwością przeszedłem do porządku dziennego nad tą sprawą chronologii. Doktor był przekonany, że żyje sto lat po wojnie, ja uważałem, że żyję w trakcie wojny. Czas pokaże, kto z nas się myli. Czas i przestrzeń też. Uważałem, że jeżeli uda mi się trochę rozejrzeć i zobaczyć innych ludzi, to wkrótce poznam odpowiedź.

Przy czym moje wewnętrzne przekonanie mówiło mi, że nawet gdyby się okazało, że rację ma doktor, to jeszcze nie dowodziłoby, że jestem szalony. Doktor uważał, że cierpię na jakieś nieszkodliwe urojenia, ale istniała też możliwość innego wyjaśnienia: czy moja podświadomość nie mogła przenieść się

o stulecie? Czy nie mogłem przespać stu lat w lesie zwanym teraz hackelnberskim, jak swego czasu Rip Van Winkle w swoich górach?

Cóż, pewnie powiesz, że nie ma wątpliwości co do stanu mojego umysłu, jeżeli poważnie rozpatrywałem taką możliwość. Ale co ma myśleć ktoś, kto czuje się tak dobrze, tak jasno myśli a przede wszystkim, tak żywo interesuje się swoim otoczeniem? Nigdy w życiu nie odczuwałem takiej chęci obserwowania i zapamiętywania wszystkiego, co widziałem. Powiadam ci, że wspomnienia tego, co widziałem w Hackelnbergu, tego, co tam czułem i robiłem, są dla mnie żywsze i prawdziwsze niż wszystko inne w moim życiu.

Wszystko tam było takie realne, i chociaż może to zabrzmieć dziwnie w świetle tego, co mam do opowiedzenia, takie interesujące.

Nie chcę powiedzieć, że wszystkie moje odkrycia należały do przyjemnych. Wprost przeciwnie. Zapewne byłbym nimi przerażony, gdybym, przeskakując tam i z powrotem przez przepaść czasu, patrzył na nie oczami z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego. Ale nie robiłem tego. Zaakceptowałem wersję historii ostatnich stu lat obowiązującą w Hackelnbergu i ucieczka nie oznaczała, dla mnie ucieczki w inny czas tylko w inne miejsce. Problemem było ponowne przedostanie się przez ten płot.

Ostatecznie, powiedzmy sobie uczciwie, czy prosty porucznik Królewskiej Marynarki Wojennej nie mógł dopuścić w połowie roku czterdziestego trzeciego myśli, że Niemcy mogły wygrać tę wojnę? W naszym obozie wszystko wskazywało na to, że tak się już stało. A skoro Niemcy wygrali i następne stulecie umocniło ich zwycięstwo, to hitlerowscy przywódcy byli dosłownie panami świata. A ludzie ci, jak wszyscy wiedzieliśmy, mieli w sobie zalążki najbardziej

fantastycznych tyranów, których wyczyny po zawładnięciu światem sprawiłyby, że żywoty rzymskich cesarów i mongolskich chanów czytałoby się jak sprawozdanie z posiedzenia rady parafialnej.

Niestety, jeżeli o to chodzi, to wylądowałem w zabitej deskami części Imperium, w rodzaju prywatnego rezerwatu, z którego nie miałem okazji do obserwowania, co dzieje się w wielkim świecie. Mogłem tylko wnioskować o absolutnej i ogólnoświatowej władzy rasy panów.

W praktyce byłem więźniem-pacjentem, albo gościem, jak wolał to nazywać on sam, pana profesora doktora Wolfa von Eichbrunna, ale nie ukrywano przede mną, że ostateczne decyzje co do mojej osoby są w ręku wielkiego łowczego, grafa Johanna von Hackelnerga. Nie podobało mi się to, jak cały personel szpitala zniżał głos i kulił się z lekka, ilekroć wymawiał nazwisko grafa. Pamiętałem też przerażony szept siostry nocnej, kiedy przyłapała mnie na słuchaniu odgłosów rogu.

Jedynie doktor pozwalał sobie mówić lekkim tonem o wielkim łowczym, ale pod tą wyższością na pokaz wyczuwało się prawdziwy lęk, a kiedy szydził z żelaznej dyscypliny, którą narzucał swoim podwładnym, zrzucając winę na system, jego nieszczerość była oczywista.

Po pierwszym posiłku przy stole doktora zacząłem zwracać mniejszą uwagę na jego egocentryczne wypowiedzi i zająłem się obserwacją personelu. Odkryłem, że tylko połowę młodych kobiet stanowiły pielęgniarki, a pozostałe sześć to były służące, chociaż nie wiadomo, na czym polegały ich obowiązki poza podawaniem do stołu, bo kręciło się tam też przynajmniej tuzin mężczyzn, młodych i nadzwyczaj podobnych do tego, który sprzątał mój pokój. Dwóch z nich przynosiło dania z kuchni do jadalni doktora, po czym stawiali

przy pomocniczym stole a dwie służące podawały półmiski do stołu. Były zawsze nagie do pasa, mogłem więc zaobserwować ich dobrze odżywione gładkie ciała, a zielono-białe spodnie, jakie miały na sobie, ciasno opinały ich nogi i pośladki. Wszystkie wyglądały jakby miały skłonność do tycia i tylko ciężka praca utrzymywała je w kondycji, chociaż żadna z nich nie miała na oko więcej niż jakieś dwadzieścia dwa lata. Zauważyłem, że każda miała na szyi wąską obrozę z jasnego metalu.

– Są tańsze niż maszyny – wyjaśnił doktor, kiedy coś na ich temat powiedziałem. – Poza tym graf nie lubi mechanizacji. Idzie na pewne ustępstwa, jeżeli chodzi o maszynę destrukcji, ale woli mi dać trzech niewolników niż jeden odkurzacz.

– Co to za ludzie? Jakiej są narodowości? – spytałem.

Wzruszył ramionami.

– Chyba Słowianie. Nigdy nie interesowałem się ich hodowlą. Zawsze byli dla mnie pozbawionymi twarzy okazami podludzi. Hodują ich masowo gdzieś w Guberni Południoworosyjskiej. Domyślam się, że pańskie małe kłopoty ze współczesnością nie pozwoliły panu na zapoznanie się z odkryciami Wesslera w dziedzinie sztucznego zapłodnienia i z zastosowaniem procesu Roeder-Schwaba do przyśpieszenia rozwoju fizycznego. Czy nie przyjemnie jest pomyśleć, że ojcem obu tych wołów był może ten sam kawałek miedzianego drutu... i jak by pan ocenił ich wiek?

Powiedziałem, że około dwudziestu dwóch lat.

– Nie więcej niż piętnaście, najprawdopodobniej dwanaście. Nad wyraz rozwinięte dzieci, co? Na szczęście tylko fizycznie.

– Nie wiem, czy czułbym się szczęśliwy, mając przy sobie tuzin umięśnionych mężczyzn o umysłach dzieci – powiedziałem.

Roześmiał się.

- Pewne środki ostrożności zostały poczynione. Nie wątpię, że z czasem zaczną ich hodować bez zbytecznych organów, ale już teraz hodowcy przycinają im zaraz po urodzeniu te, które mogą być przyczyną kłopotów. Czy zauważył pan, że oni nie mówią? Graf wymaga drobnych zabiegów na ich strunach głosowych, zanim zostaną do nas dostarczeni.

Przeniósłem spojrzenie z niewolników na dwie dziewczyny w zielono-białych liberiach i spytałem, czy one też są niewolnicami.

- Ależ skąd! - odpowiedział, spoglądając na nie z dumą. - Czysto niemieckie dziewczęta. Graf trzyma sporo niewolnic, ale ja nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. U właściwie wychowanych niemieckich panien dyscyplina jest czymś naturalnym. Jeżeli któraś naruszy przepisy, inne natychmiast to zgłaszają. Selbstzeuchtigung! Przewidując to ofiara zwykle zgłasza się sama i proponuje odpowiednią karę. - Obrzucił spojrzeniem dwie młode kobiety i dodał z odcieniem sadystycznej satysfakcji: - Pilnują się, żeby nie zaproponować zbyt małej!

Im dłużej żyłem w tym lśniącem, aseptycznym miejscu, w tej atmosferze żelaznej dyscypliny i niewolnictwa, tym bardziej ciekawił mnie polujący po nocach graf, otoczony aurą ekscentryczności. Co jakiś czas słyszałem w lesie jego róg, który nadal budził we mnie zaciekawienie i niepokój, ale jak dotąd nie widziałem ani śladu grafa i jego kompanii. Z codziennych spacerów z jedną z pielęgniarek wokół szpitala wiedziałem, że Schloss, jak go nazywały, znajdował się niedaleko od nas w kierunku północnym, ale że nigdy nie wypuszczano mnie inaczej niż pod okiem kogoś z tępych niewolników, nie próbowałem oddalać się w las. Doktor

powiedział mi, co stanie się z pielęgniarką, gdybym się jej zgubił.

Jedyne, co mogłem zrobić, to protestować do von Eichbrunna, że mam za mało ruchu. Odpowiedział mi, że on sam nie zażywa więcej. Ale obecność wielkiego lasu tuż obok i zakaz zapuszczania się do niego były tak kuszące, że nalegałem i wreszcie któregoś dnia, wysłuchawszy mnie z pewną niechęcią i niecierpliwością, doktor ustąpił.

- Widzę - powiedział - że jeżeli nie zaspokoję pańskiej ciekawości, zrobi pan coś bardzo głupiego i oddali się samowolnie. Zapewne odzywa się w panu jakiś romantyczny anglosaski duch przygody, a skoro tak, to czuję, że ani pańska staromodna rycerskość w stosunku do moich pańienek, ani wzgląd na własną skórę, nie potrafią pana powstrzymać. Cóż, skoro musi pan zobaczyć grafa von Hackelnberga, to lepiej, żebym ja pana zabrał do zamku. Lepiej dla pana, przyjacielu - powiedział, oddzielając słowa z naciskiem. - Lepiej, żeby pan zobaczył jego, niż żeby on zobaczył pana.

Wypowiadając te słowa rozlał trochę wina, pamiętam, że było to czerwone Bordeaux, i odniosłem wrażenie, że zrobił to naumyślnie. Może była to jakaś libacja, prośba do bogów, żeby osłonili go przed jakąś złą siłą, a może dramatyczny efekt retoryczny, którego znaczenia nie mogłem przeoczyć, widząc czerwoną plamę, połyskującą na blacie stołu. Jedna z dziewcząt pośpiesznie starła ją serwetką, podczas gdy doktor odsunął krzesło i roześmiał się z przymusem.

- Cóż - odezwał się po chwili lżejszym i bardziej przyjaznym tonem. - Jakoś to zorganizuję. Ja, coś panu powiem. Pojutrze graf podejmuje gauleitera Gaskonii i jego świtę. Pojadą na przejażdżkę po lesie i trochę sobie postrzelają. Przez cały ranek Zamek będzie pusty. Ja, pokażę panu Zamek, a może i trochę zwierzyny. Nie widział pan

Dźwięk rogu

jeszcze takiej zwierzyny, jaką graf trzyma dla swoich gości. Potem, ale tego nie obiecuję, pozwolę panu zerknąć na Hansa von Hackelnberga w jego sali paradnej.

Rozdział szósty

Von Eichbrunn dotrzymał słowa. W dwa dni później zostałem obudzony bardzo wcześnie i zanim jeszcze skończyłem ubierać się w myśliwski strój, który mi przysłał, już usłyszałem, jak mnie woła z werandy. Był piękny, rzeński poranek, las upajał silnym, słodkim zapachem. W nocy nie słyszałem rogów, spałem twardo bez snów i teraz głośny śpiew ptaków, szelest liści i poranne promienie słońca w koronach drzew, na ich pniach i trawie polanek działały na mnie odurzająco.

Doktor ubrany był do lasu w obcisłe zielone spodnie z szerokimi złotymi lampasami, buty do pół łydki z materiału przypominającego zamsz i kaftan chyba z jeleniej skóry ze złotymi szamerowaniami. Na głowie miał zieloną aksamitną czapkę z czaplim piórem, a u pasa kordelas z rękojeścią z kości słoniowej. Strój, który mi wypożyczył, był taki sam tylko bez ozdób.

Poprowadził mnie jedną z wąskich drózek, rozchodzących się od szpitala, i zauważyłem, że kazał iść za nami dwóm słowiańskim niewolnikom.

Nie uszliśmy dalej niż ćwierć mili, kiedy naszym oczom ukazały się pierwsze zabudowania zamku. Trudno mi jest opisać ten obiekt, bo nigdy nie widziałem go w całości. Prawdę

mówiąc, nie można go było w całości zobaczyć, bo las nie tylko zbliżał się do jego murów, ale wchodził na jego drogi i dziedzińce, a miejscami przykrywał go namiotem z gałęzi. Schloss okazał się daleki od moich wyobrażeń. Budynki były niskie, z pruskiego muru albo całkowicie z drewna, wyjątkowo nieregularne w kształcie, jakby architektom zabroniono ścięć choćby jednego drzewa, jakby musieli dostosować swoje plany do istniejących wolnych przestrzeni i polanek. W niektórych miejscach ogromne dęby i topole zostały rzeczywiście wbudowane w strukturę budynków, a małe wieżyczki i wykusze tuliły się jak gniazda do ich konarów.

Jakaś dziwna tajemniczość otaczała to miejsce w cichy, wczesny poranek. Rzecz nie w tym, że nie było tu widać żywej duszy, na to byłem przygotowany. Myślę, że to surowa i jasna elegancja szpitala kazała mi się spodziewać podobnego stylu w zamku, a zamiast tego znalazłem średniowieczną chimeryczność, fantazyjne zawiłości i łamańce. Te niskie, przysadziste budynki ze swoimi szczytami i facjatami, wykuszami i niszami, niesymetrycznymi oknami i wgłębionymi w mur drzwiami zdawały się wyrastać z lasu i znikać w nim według własnego widzimisie, szukać cienia i samotności jak leśne zwierzęta. Były istotami leśnymi do szpiku kości, ich belki i deski, ich wapno i tynki, szare głązy fundamentów i progów pochodziły z otaczającej je przyrody. Były tak naturalne jak szałas Irokeza czy chata smolarza a jednak nie były toporne. Miały w swojej konstrukcji jakiś artyzm, ich zaskakująca nieregularność, ucieczka od zwyczajowych proporcji i zarysów miały w sobie jakąś gotycką zmyślność i mistrzostwo. Zagłębiliśmy się w labirynt dziedzińców i wąskich pasaży, brukowanych kamieniami przerośniętymi mchem, przemykaliśmy się kruzgankami i dębowymi galeriami, a we mnie narastało uczucie, że

skradamy się przez opuszczone i zapomniane niemieckie średniowieczne miasteczko, które jakimś cudem pozostało nietknięte choć pochłonął je las.

Von Eichbrunn odzywał się z rzadka, odpowiadając ściszym głosem na moje nieliczne pytania i rzucając tylko krótkie objaśnienia, kiedy pokazywał mi pomieszczenia mieszkalne, kuchnie, psiarnie i stajnie. Chętnie zatrzymałbym się, żeby popatrzeć na psy i konie, na powozy i na stojaki ze starą bronią myśliwską w niektórych galeriach, ale doktor przynagłał mnie nerwowo, chcąc, jak się domyślałem, czym prędzej znaleźć się na powrót na otwartej, czy też względnie otwartej, przestrzeni lasu. Zdołałem tylko stwierdzić, że wielki łowczy Rzeszy trzyma różne psy myśliwskie: sforę czarno-białych francuskich ogarów świętego Huberta, ogary posokowce i jakieś potężne bestie, chyba dzikarze, krótkowłose i podpalane, potwornie silne i dzikie jak tygrysy, które rzucały się wściekle na pręty klatek, kiedy je mijaliśmy. Nigdy nie widziałem podobnej zajadłości i determinacji, nawet u psów naszej straży obozowej. Doktor prześlizgiwał się najdalej jak mógł od ich kłów i pałających żądzą mordy oczu.

Ta wściekłość, jaką na siebie ściągnęliśmy, tak dalece wyprowadziła doktora z równowagi, że zgubił drogę. Za psiarnią weszliśmy na mały zarośnięty dziedzińczyk, z którego rozchodziło się kilka wąskich, ciemnych pasaży. Von Eichbrunn rozglądał się, nie wiedząc, który wybrać, potem odwrócił się i gestem zapytał jednego z idących za nami niewolników. Zanim ten zdążył odpowiedzieć, rozległ się donośny, władczy głos. Von Eichbrunn drgnął i z nieprzekonywującym uśmiechem pośpiesznie rzucił się w tamtym kierunku, ciągnąc mnie za sobą. Prawie natychmiast skręcił w drzwi, prowadzące do długiego pomieszczenia, w którym jedno okno wychodziło na dziedziniec, a inne,

rozmessezone pod sufitem, ukazywały błękitne niebo między gałęziami drzew.

Zobaczyłem, że ten, który nas okrzyknął, był młodym człowiekiem, ubranym podobnie jak doktor, tyle że zdjął kaftan i był w samej koszuli. Przyglądając mu się zza pleców doktora pomyślałem, że jest aż zbyt doskonałym okazem typowej nazistowskiej blond bestii, żeby mógł być prawdziwy: choć nie był masywnie zbudowany, jego figura i poza sugerowały brutalność; włosy i rzęsy miał tak jasne, że gdyby nie szare oczy, można by go wziąć za albinosa. Jego twarz, póki nie rozpoznał von Eichbrunna, wyrażała wyniosłą arogancję i zimną władczość, ale kiedy sucho odpowiedział na pozdrowienie doktora, przybrał zwykłą zapewne dla niego pyszałkowato szyderczą minę z jakimś rysem beztroskiego okrucieństwa w układzie ust.

Doktor po niemiecku wyjaśniał coś niewątpliwie w związku ze mną. Czułem na sobie spojrzenie młodego człowieka i starannie go unikałem, rozglądając się dokoła. Znajdowaliśmy się zapewne w sali myśliwskiej, mieszczącej dziwny zestaw wyposażenia, wyglądającego, jakby było w ciągłym użyciu, dobrze utrzymanego, porządnie poskładanego. Nawet oszczepy na dziki w stojakach pod ścianą błyszcząły gotowe do wykorzystania. I to było dziwne w tym miejscu: wiele z tego sprzętu całkowicie nie pasowało do chronologii von Eichbrunna. Po co wisiały tu rzędy kusz z częściami metalowymi świeżo wypolerowanymi, z nowymi i mocnymi cięciwami, co tu robiły oszczepy i kordelasy, a w dalszym rogu na drewnianych stojakach coś, co wyglądało na zbroje, tyle że nie żelazne ale zrobione z mocnej skóry albo przypominającego ją materiału? Graf von Hackelberg sprawiał wrażenie zdecydowanego miłośnika średniowiecza. Jedyne ustępstwo na rzecz nowoczesności stanowił stojak z

krótkimi, jednolufowymi strzelbami bardzo dużego kalibru, znacznie większego od wszystkiego, co widziałem wśród broni myśliwskiej, a pod nimi stały metalowe pudła, zapewne z nabojami. Obok znajdował się sprzęt myśliwski, na który czas miał niewielki wpływ: smycze, obroże i pejczy.

Sala była pełna podobnych rzeczy i zdołałem zaobserwować tylko te najbardziej rzucające się w oczy. Zauważyłem natomiast, że brakowało tu zwykłych trofeów, takich jak głowy jeleni czy lisów, wisiały za to na kołkach w pobliżu dziwnych zbroi skóry albo części skór, wszystkie na oko tego samego rodzaju. Nie wystawiono ich na pokaz jako trofeów, ale zwyczajnie zawieszono. Mogłem dostrzec zwisające ogony i pomyślałem o skórach lamparcich, choć może były to tylko podfarbowane żbiki, bo wydawało mi się, że żbiki powinny być dość pospolitymi mieszkańcami tego wielkiego lasu.

Zauważyłem jeszcze coś: jasnowłosy młodzieniec stał przy wielkim stole, zajmującym środek sali, i robił coś wśród zaścielających go przedmiotów. Kiedy zrobił krok w stronę doktora, odłożył to coś, nad czym pracował piłką do metalu. Zbliżywszy się nieco zobaczyłem, że był to dziwnie wyglądający zestaw stalowych ostrzy, połączonych jak palce dłoni, rozmiaru mojej dłoni albo nieco mniejszy. Przypominało to nieco żelazną rękawicę tylko bez mankietu. Na stole leżało wiele podobnych przedmiotów a niektóre były zaopatrzone w skórzane paski. Pewnie za chwilę podszedłbym jeszcze bliżej i wziął to coś do ręki, ale doktor ujął mnie pod rękę i wyprowadził z sali.

Wyglądało na to, że uspił podejrzenia młodego zarządcy, bo szedł razem z nami rozmawiając dość przyjaźnie z von Eichbrunnem, chociaż nie zwrócił się ani słowem do mnie. Zapewne nie znał żadnego języka prócz niemieckiego, a ja,

choć rozumiałem trochę po niemiecku, jeżeli się mówi wolno, nie przyznałem się do tego von Eichbrunnowi.

Zarządca odprowadził nas przez mały dziedzińczyk do części parkowej z rzadko rosnącymi drzewami. Stamtąd dostrzegłem zarysy największego ze wszystkich dotąd widzianych domów. Choć zakrywały go drzewa, zorientowałem się, że jest to wielka, kamienna budowla w stylu gotyckim ze stromym dachem z pinaklami i wieżyczkami, z wymyślnymi ornamentami, niczym fantazyjna kopia jakiegoś szesnastowiecznego ratusza z Nadrenii.

Chciałem podejść bliżej, żeby się jej lepiej przyjrzeć, ale von Eichbrunn znów mnie powstrzymał, bo widocznie to, co zarządca miał nam pokazać, znajdowało się w innym kierunku. Prowadził nas wąskimi drózkami między żywopłotami z przyszczyżonych leśnych drzew i zagrodami, w których pasły się bardzo oswojone sarny, daniela i jelenie, same łanie z małymi, o ile zdołałem się zorientować. Na zawołanie zarządcy wybiegały spomiędzy drzew i krzewów, żeby jeść mu z ręki, a on obmacywał ich grzbiety i zady jak farmer oceniający prosiaka. Domyślałem się, że na stołach grafa nigdy nie brakowało dziczyzny.

Nie potrafiłem ocenić, jak rozległa była to farma hodowlana, ale zapewne obejmowała i dalsze zagrody, ukryte za wysokimi żywopłotami, w których mieszkały zwierzęta nie tak łagodne jak sarny, bo w pewnej chwili, kiedy głaskaliśmy nosy danieli, gdzieś niedaleko rozległ się dziwny skowyt i daniela nagle rzuciła się do ucieczki. Leśniczy roześmiał się, ale von Eichbrunn wyglądał na równie przestraszonego jak wcześniej przy dzikarzach i przez chwilę myślałem, że on też rzuci się do ucieczki. Był to dźwięk dziwny i nieprzyjemny. Nazwałem go skowyt, ale faktycznie bardziej przypominał stłumiony i modulowany krzyk z warkliwą nutą, przechodzący

w piski podniecenia i niecierpliwości, które brzmiałyby prawie po ludzku, gdyby nie były absolutnie dzikie. Nie przypominało mi to żadnych znanych mi ogarów, a jednak miałem silne wrażenie, że już gdzieś ten głos słyszałem i kojarzył mi się z myśliwskimi psami. Dopiero po paru minutach przypomniałem sobie, skąd go znam albo tak mi się zdawało. Przypominał on bardzo odgłosy przemieszane z szumem lasu, dobiegające mnie tamtej nocy, kiedy przy oknie słuchałem rogu Hansa von Hackelnerga. Zdawało mi się, że rozróżniam skowyt psów, ale wytłumaczyłem sobie, że to musi być wiatr. Tymczasem nie były to ani psy, ani wiatr.

Nie zdążyłem zadać pytania, bo zarządca wyprowadził nas ze swojego gospodarstwa na leśną drogę, po której doktor, wyraźnie zadowolony, że znów został sam na sam ze mną, szybkim krokiem puścił się pod górę. Kiedy go spytałem, czy nie pokaże mi Wielkiej Sali, burknął krótko „Nein” i nie wdawał się w dalsze wyjaśnienia, póki nie dotarliśmy na szczyt pagórka.

Tam oparł się o pień sosny i otarł czoło, bo dzień był upalny a on nie przywykł do wysiłku.

- Nie - powiedział ze złością. - Miałem dość zamku na pusty żołądek. Leśniczy Franck powiedział mi, że goście gauleitera będą ucztować w pawilonie Kranichfels, to jest dobra godzina drogi stąd. A jedzenie będzie nie byle jakie. Z tego co wiem, ci goście to brzuchate, żarłoczne towarzystwo i mam zamiar zjeść to, co moje, zanim zwałą się z polowania. A potem uciekam z tego verfluchte upału i idę spać.

- Myślałem, że pokaże mi pan Schloss - przypomniałem mu.

- Ja, założę się - odpowiedział już z mniejszą irytacją. - Jeżeli obieca pan, że nie ucieknie dziś po południu, to może uda mi się wieczorem przemycić pana do Wielkiej Sali. Ale

proszę pamiętać, że nie odpowiadam za konsekwencje! – dokończył ostro.

Uznałem, że rozgryzłem już doktora i że było w nim dużo z dziecka, odpowiedziałem więc spokojnie, że zapewne postara się uniknąć nieprzyjemnych konsekwencji dla siebie, a co do mnie, to jestem gotów zaryzykować. Po tym uzgodnieniu podążaliśmy dalej drogą przez las.

Po chwili doktor zaczął znów mówić w swoim nadętym i zarozumiałym stylu, ale tym razem nie mogłem się powstrzymać od uwagi, że przy całym swoim lekceważeniu dla myśliwych i służby leśnej, musi przyznać, że mają oni pewne umiejętności, nie mówiąc już o odwadze, których on nie posiada, skoro radzą sobie z takimi psami jak te dzikarze, które dziś widzieliśmy.

Jego reakcja zdziwiła mnie. Odsunął się ode mnie, westchnął głęboko i powiedział po niemiecku coś, co zabrzmiało, jakby przeklinał dzień, w którym przyjął tę pracę. Potem bardzo rzeczowo dodał:

– Psy jak psy, ale nich mnie Bóg strzeże przed kotami.

Zaskoczył mnie nieudawany strach w jego głosie.

– Czy chodzi panu o to coś, co zaskowyczało, kiedy oglądaliśmy daniele? – spytałem.

Ale doktor, zły, że wymusiłem na nim przyznanie się do strachu, kroczył w ponurym milczeniu.

Ten paromilowy spacer był dla mnie bardzo interesujący. Nie widzieliśmy żadnej zwierzyny poza kilkoma wiewiórkami i słyszeliśmy niewiele ptaków, ale mnie zajmowało zapamiętywanie terenu, utrwalanie w myśli drogi, którą przebyliśmy, każdego charakterystycznego drzewa czy głązu. Przekroczyliśmy dwa małe strumyki i doktor z obu się napił, a potem zaczęliśmy podchodzić długim łagodnym zboczem na porośnięty bardzo gęstymi krzakami grzbiet. Nagle

usłyszałem w pobliżu szczekanie psa. Von Eichbrunn nie zwrócił na to uwagi, a za chwilę wzdrygnął się i zaklął, kiedy z ukrycia wyłonił się mężczyzna, który zagroził nam drogę.

Miał na sobie zielony strój leśnika a w ręku trzymał lekką kuszę. Młody, nie wyglądający groźnie chłopak, powiedział kilka zdań do von Eichbrunna a potem z rozbawieniem w oczach patrzył, jak ten mruczy coś niezadowolony.

Domyślałem się, o co może chodzić i zaraz uzyskałem potwierdzenie, kiedy doktor nie chcąc pogodzić się z utratą obiadu, wdał się w dyskusję z młodym leśniczym. Przybyliśmy zbyt późno. Nagonka ruszyła i idąc dalej naszą dróżką, moglibyśmy spłoszyć zwierzynę z kursu na myśliwych. Leśniczy został tu wyraźnie postawiony, żeby nie pozwolić zwierzętom skręcić na drogę, którą szliśmy.

Znów odezwał się pies. Leśniczy nasłuchiwał z przechyloną głową. Gdzieś na lewo od nas rozległ się strzał. Leśniczy słuchał jeszcze przez chwilę a potem odstonił zęby w uśmiechu. Uniósł kuszę, celując do wyimaginowanej ofiary i z żalem potrząsnął głową, jakby mówił „Gdyby ten gość chybił, zwierzyna byłaby moja”.

Potem nagle zwrócił się do von Eichbrunna i, o ile mogłem zrozumieć, zaproponował mu, żeby przeszedł na pobliskie wzgórze i tam zaczekał, bo nagonka wkrótce przejdzie. Von Eichbrunn pokręcił głową, ale chłopak roześmiał się i włożywszy palec w usta wydał tak realistyczny odgłos otwieranego szampana, że doktor natychmiast dał się przekonać i bez dalszych dyskusji pozwolił się poprowadzić przez zarośla.

Szliśmy przez gęste krzewy czymś na kształt zielonego tunelu. Widzieliśmy nie dalej niż jard czy dwa przed sobą i zarośla po obu naszych stronach były tak bujne i splątane, że nie wyobrażałem sobie, żeby coś większego od kuny mogło się

między nimi precyzyjnie. Domyśliłem się, że miejsce zostało celowo tak dobrane i przystosowane, żeby pędzona zwierzyna musiała poruszać się przecinkami, na końcu których czatowali myśliwi. Kiedy weszliśmy na szczyt wzgórza, przekonałem się, że tak rzeczywiście było.

Takiego miejsca nie wymyśliłby żaden leśniczy w Anglii. Ze środka małego zagajnika starannie usunięto poszycie, pozostawiając młode drzewka, i otoczono sięgającym do piersi wałem ziemnym, porośniętym trawą i niskimi krzewami. Przednia część tego fortu tworzyła półksiężyc z przerwami między krzewami rozmieszczonymi w taki sposób, żeby strzelec widział całą polanę. Była to właściwie bardziej szeroka przecinka niż polana, bo przeciwległą stronę stanowił gęsty nieprzerwany żywopłot, wyglądający całkiem naturalnie, ale niewątpliwie tak pomyślany, żeby zamknąć zwierzynę w obrębie przecinki i zmusić do przebiegnięcia przed stanowiskami myśliwych. Znajdowaliśmy się w dolinie i biegnąca wzdłuż niej przecinka kończyła się w miejscu, gdzie teren wznosił się stromo w górę i ściany doliny, przechodzące w szare, prawie pionowe skały, albo zbiegały się, albo zostawiały bardzo wąskie przejście między urwiskami. Było oczywiste, że każda zwierzyna, pędzona w górę doliny, która uniknęła śmierci, musiała zawrócić pod ogień, albo zginąć z ręki leśników rozmieszczonych na końcu doliny. Mieliśmy dobry widok na większość tego trójkąta, utworzonego przez skały, bo drzewa rosły tu tylko z rzadka. W drugim kierunku, z którego musiała pojawić się zwierzyna, przecinka biegła prosto przez jakieś sto jardów, co dawało myśliwym dość czasu, żeby spokojnie zmierzyć i oddać strzał.

Brakowało tylko oswojonych jeleni, żeby nawet najgorszy strzelec miał zapewniony sukces. A patrząc na główną osobę na tym stanowisku, domyślałem się, że to najczęstszy typ

gościa, jakich wielki łowczy Rzeszy podejmował.

Był to niski, gruby jegomość w tyrolskich lederhosen z ozdobnymi szelkami, białych podkolanówkach i wyszywanej koszuli. Głowę miał kwadratową, prawie łysą, policzki obwisłe, z tyłu, nad kołnierzykiem koszuli wypiętrzał mu się gruby zwał tłuszczu, a zad miał jak rzeczna barka. Trudno było wyobrazić sobie bardziej absurdalny kontrast do trzech czy czterech młodych leśników, znajdujących się prócz niego na stanowisku, takich szczupłych i wysportowanych, ubranych w bogato zdobione zielono-złote stroje, jednak w lesie zupełnie funkcjonalne. Jego nalane, blade nogi i ramiona w zestawieniu z ich muskularną opalenizną sprawiały, że wyglądał jak przedstawiciel całkiem innego gatunku.

Odwrócił głowę, kiedy weszliśmy od tyłu na obwarowany teren, i powiódł po nas nieprzytomnym, mrugającym spojrzeniem zza okularów bez oprawek, po czym wrócił do obserwowania przecinki. Siedział przy jednej z przerw w krzewach na składanym stołku, który ginął pod krzywizną jego błyszczących skórzanych spodni, a przy pokrytym darnią przedpiersiu stały oparte trzy strzelby, w tym jedna z tych wielkokalibrowych, jakie widziałem w zamku. Przy następnym prześwicie stał leśniczy z kuszą, mający oko zarówno na przecinkę jak i na gościa.

Von Eichbrunn i ja pozostaliśmy w tylnej części tego fortu. Pozostali leśnicy szeptem przywitali się z doktorem, który wkrótce położył się na dywanie z trawy, pod namiotem zielonych liści, w otoczeniu miłych sercu butelek i pojemników z lodem, a ja miałem możliwość obserwowania tego, co się dzieje.

Gość zaliczył już celny strzał, bo z konaru topoli zwiisał świeżo wypatroszony daniel. Myśliwy oddał więcej strzałów, bo na trawie obok niego naliczyłem trzy albo cztery łuski. Jego

towarzysze też nie próżnowali, bo co jakiś czas słyszeliśmy granie ogarów i w różnych odległościach rozlegające się strzały, za długim występem lasu blokującym nam widok na dalszą część doliny.

Nasz myśliwy wyglądał na znudzonego. Wyjął cygara i już miał zapalić, kiedy dowodzący tu leśniczy dał znak, a ładowniczy gościa podał mu strzelbę i z szacunkiem wskazał mu właściwy kierunek. Siedzący obok mnie chłopak trącił mnie łokciem i powstawszy, skierował mnie na miejsce, z którego mogłem mieć najlepszy widok na przecinłę. Para ogarów z ujadaniem pędziła w naszą stronę i nagle pojawił się czerwony jeleń, biegnący bez wysiłku w górę doliny. Zatrzymał się w odległości pięćdziesięciu jardów od naszego stanowiska z pewną podejrzliwością, ale powęszywszy i potrząsnąwszy parę razy głową, ruszył dalej kłusem, przechodząc w odległości około dwudziestu jardów od naszego szańca. Nie był pędzony zbyt długo ani szybko i sprawiał wrażenie całkiem oswojonego: zachowywał się tak ufnie, że opuściłbym instynktownie strzelbę, gdybym to ja stał na stanowisku. Nasz gość jednak wystrzelił. Jeleń zniknął z mojego pola widzenia i nie widziałem efektu trzech strzałów, jakie zdążył oddać, ale podczas gdy pozostali leśnicy wybiegli zza szańca, ich przełożony skrył się za drzewem i ukradkiem naciągnął kuszę. Potem z powagą pogratulował gościowi, a kiedy chłopcy przynieśli ustrzelonego jelenia, podszedł do von Eichbrunna i wdał się z nim w pogawędkę.

– Das ist der Letzte – usłyszałem. – Jetzt haben wir nur noch die Boegel, damn wollen wir sehnen ob's was zu essen gibt.

W czasie, gdy paru chłopców oprawiało i wieszało jelenia, dwaj inni zajęli się kanapkami i drinkiem z lodem dla gościa, który zmęczony siedzeniem na zbyt małym krzeselku, z ulgą

opadł na miękką ławę z darni. Chłopcy bezwstydnie zasypywali go komplementami, ale choć odpowiadał im z hałaśliwą wesołością i fałszywą szczerością, widać było, że nie zalicza tego poranku do udanych. Ożywił się jednak i zaczął zdradzać znacznie większe zainteresowanie, kiedy jeden z leśniczych zaczął demonstrować mu tę dziwną, wielkokalibrową strzelbę i przedstawiać mu następny punkt programu. Nie słyszałem, co mówi, bo oddaliłem się, nie chcąc zwracać na siebie uwagi gości, a poza tym bardziej mnie zaciekały nowe niezwykle postacie na naszym stanowisku.

Wyłoniły się bezszelestnie z zarośli za nami i zajęły stanowiska na szczycie wału ziemnego, ukryte za krzewami ale same mające widok na przecinkę. Był to młody leśniczy z pejczem w jednej ręce, trzymający na smyczy dwa duże stworzenia, które, sądząc po głowach i przednich częściach ciała, wziętem początkowo za pawiany. Kiedy jednak leśniczy pozwolił im wstać i przeciągnąć się, zobaczyłem, że są to chłopcy. Ich głowy całkowicie okrywały niezwykle realistyczne maski, przedstawiające psiogłowe pawiany z Afryki Północnej; odciągnięte wargi odsłaniały wielkie, mocne zęby. Ich barki, plecy i piersi okrywały płaszcze jedwabistej siwej sierści przetykanej złotem i brązem, sięgające prawie do pasa. Poniżej tego byli całkowicie nadzy, z wyjątkiem wąskich pasów, do których były przytwierdzone smycze. Odsłonięta skóra była ciemnobrązowa, ale nie potrafiłem powiedzieć czy z natury, czy od słońca.

Gruby myśliwy też ich zauważył i głośno stęknął ze zdziwienia. Leśniczy zeskoczył z nimi z wału i kilkoma uderzeniami pejcza zachęcił ich do zademonstrowania swoich sztuczek. Robili fikołki, stawali wyprostowani i na czworakach, naśladując ku wielkiej ucieście gościa wszystkie mniej delikatne obyczaje swoich oryginałów i doskonaliąc

niektóre z pomysłowością, nie pozostawiającą wątpliwości co do ich przynależności gatunkowej. Gość zarykiwał się ze śmiechu i przytupywał z radości, aż na słowo starszego leśnika przewodnik przywołał ich do nogi, co wykonali natychmiast, kucając z zadartymi do góry pyskami. Wtedy przewodnik podał im cienką ale mocną sieć, którą skwapliwie wzięli i zarzucili sobie na ramiona jak linę.

W tej samej chwili z doliny rozległ się głos trąbki. Przewodnik i jego chłopcy pawiany wrócili na swoje miejsce na wale, gościa zaprowadzono na jego stanowisko strzeleckie, a ja wślizgnąłem się na pozycję, z której miałem wzrok skierowany na korony drzew, ale leśniczy trącił mnie łokciem i wskazał w dół, na przecinkę.

Pojawiła się tam dziwna postać, biegnąca co tchu wśród kęp trawy: postać ludzka ale jakże fantastycznie przebrana. Walczyła o życie, bo głosy niewidocznych jeszcze psów były coraz bliższe i nie ulegało wątpliwości, że pędzą, żeby zabić. Uciekająca postać przykuła mój wzrok: była to wysoka, długonoga dziewczyna z twarzą i głową ukrytą pod bajecznie kolorową maską z dziobem, spod której wypływały rozwiane włosy. Ta postać, biegnąca przez las w górę doliny była tak niesamowita, że równie dobrze jedna z tych staroegipskich bogiń z głową ptaka mogłaby nagle uwolnić się ze swojego kamiennego bezruchu i rzucić do panicznej ucieczki. Jej piersi okrywały pióra złote i szkarłatne, wzdłuż ramion miała umocowane kasztanowate i tęczująco zielone pióra z lotek, a od talii ciągnął się za nią długi, wygięty ogon z piór brązowych i złotych. Te ozdoby oraz złote buty stanowiły jej jedyne odzienie.

Nie miała w sobie nic ze spokoju jelenia; była śmiertelnie przerażona i biegła z szybkością, której nie dorównałbym w latach, kiedy uprawiałem sport. Widziałem jej rozpacziwą

determinację, kiedy przebiegała przed naszym fortem i wiedziałem, że nie zdoła utrzymać tego tempa przez następne sto jardów. Straciłem ją z oczu i w tym momencie usłyszałem, że nasz myśliwy strzelił.

Przerażony chciałem już wskoczyć na przedpiersie, ale leśniczy, który miał lepszy widok na przecinkę, wykrzyknął ściszym głosem:

– Pudło! Teraz biegnie następna!

Spojrzałem w drugą stronę i zobaczyłem biegnącego następnego „ptaka”, tym razem w białym upierzeniu, z wysokim złotym grzebieniem i krótkim, wysoko postawionym wachlarzem ogona. Ta dziewczyna miała pełniejsze kształty niż pierwsza, nie biegła tak szybko i zaczynała zdradzać oznaki zmęczenia, ale przyśpieszyła, słysząc narastające za plecami ujadanie psów i bardzo zbliżyła się do naszych stanowisk.

Uniosłem się w chwili, kiedy myśliwy strzelił i zobaczyłem, że coś, co wyglądało jak sieć z cienkich, połyskliwożółtych włókien, jakby ogon komety, pomknęło w powietrzu w kierunku ofiary. Dziewczyna podskoczyła i krzyknęła, sieć rozpostarła się prawdopodobnie niesiona przez wiele drobnych ciężarków, rozmieszczonych na jej obwodzie, jak przy okrągłej sieci na ryby. „Ptak” zakręcił się w miejscu, uderzając się po nagim ciele, jakby ją kęsały komary, przez co uwikłała się do reszty w tych pajęczych niciach. Szamotała się, wyraźnie odczuwając ból po uderzeniach ciężarków, i zrobiła jeszcze kilka kroków, ale z wysiłkiem, bo wyglądało na to, że włókna, choć tak cienkie, są kleiste i niezwykle mocne, gdyż owijały się wokół jej ud i kolan.

Najstarszy leśnik wydobył radosną nutę ze swojego małego srebrnego rogu i młody przewodnik spuścił ze smyczy swoje pawiany, które z głośnymi szczekliwymi okrzykami

zeskoczyły z wału i rzuciły się w kierunku szamoczącej się dziewczyny. Na widok nowej groźby podjęła rozpaczliwą próbę ucieczki i udało jej się rozerwać więzy, krępujące jej nogi, ale chłopcy dopadli ją po kilku jardach. Rzucili ją na ziemię i pokonawszy jej opór, zawinęli ją ciasno w swoją sieć.

Gościowi pomagano teraz przejść przez obwałowanie, a leśnicy szykowali się do pościgu za pierwszym „ptakiem”, który, dobrze widoczny w swoim złocie i czerwieni między rzadko rosnącymi drzewami, biegł z trudem w górę doliny. Przewodnik przygotował swoje „pawiany” do pogoni, a inny leśnik wręczył gościowi jego strzelbę, ale nasz sportowiec miał wyraźnie dosyć: przy jego budowie nie mógł się równać z taką biegaczką, nawet tak wyczerpaną. Wolał oglądać swój łup; mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć przez zwoje siatki, chichotał i prychał, wykrzykując swoje „fabelhafts!” i „Maerchenhafts!” z wielkim ożywieniem, ale nie ukrywał, że najbardziej interesuje go teraz obiad. Von Eichbrunn absolutnie podzielał jego zdanie.

W rezultacie w pogoń ruszył tylko przewodnik ze swoimi „pawianami”, które zachęcał okrzykami, i jeszcze jeden z leśniczych. Gwizdnięciem przywołano z zarośli grupę niewolników do niesienia na drągach zabitego jelenia i skrępowanej siecią dziewczyny, i wszyscy razem ruszyli do pawilonu Kranichfels.

Moje nadzieje na ujrzenie podczas obiadu grafa von Hackelberg nie spełniły się. Nie widziałem nawet gauleitera Gaskonii i jego świty, bo von Eichbrunn odciągnął mnie do cichego zakątka w ogrodzie, gdzie jedliśmy z młodszymi leśnikami, podczas gdy grube ryby bawiły się bardzo hałaśliwie w pawilonie. Młodzi chłopcy przyglądali mi się z ciekawością, nie próbując wdawać się ze mną w rozmowę, ale z ich paru uwag zrozumiałem, że graf powierzył prowadzenie

porannego polowania swojemu zastępcy. Wcześniej pokazał gościom, którzy wszyscy byli tu po raz pierwszy, swoje żubry i jelenie, a potem ich opuścił, nie uczestnicząc w rozrywkach, których byliśmy świadkami. Podejrzywałem, że graf był zbyt zazdrosny o swoją zwierzynę, zarówno czworonożną jak dwunożną, żeby przyglądać się, jak strzelają do niej obcy. A co do atrakcji takich jak polowanie na „ptaki”, to nieograniczone dostawy dorodnych niewolnic z krajów słowiańskich i śródziemnomorskich pozwalały grafowi na organizowanie wielce urozmaiconych rozrywek erotycznych dla satrapów Reichu, ale doborowe sztuki i najwymyślniejsze uciechy były zarezerwowane dla niego samego.

Zapytałem von Eichbrunna, co się stanie ze schwytanymi „ptakami”.

– Zostaną podane dziś na kolację! – zachichotał oblesnie. – Jak najbardziej żywe i wierzgające! Nasz myśliwy ustrzelił pięknego pulchnego gołąbka. Będzie na co popatrzeć, kiedy się zacznie do niej zabierać...

Obiad był długi i obfity. Młodzi leśnicy spisywali się dzielnie i podejrzewałem, że nasz posiłek stanowił zaledwie streszczenie tego, co działo się w pawilonie. Po wielkiej ilości szampana angielszczyzna von Eichbrunna stała się tak bełkotliwa, że jakakolwiek sensowna rozmowa z nim przestała być możliwa i uznałem popołudnie za stracone. A tyle rzeczy chciałem zrobić i zobaczyć. Chciałbym obejrzeć jeden z tych strzelających sieciami naboju i broń, z której się je wyrzuca. Chciałbym też porozmawiać z organizatorami nagonki i przejść jej śladem. Tymczasem i rozmowa, i przechadzka okazały się niemożliwe.

Chłopcy opuścili nas, zanim towarzystwo gauleitera skończyło ucztę, ale doktor leżał w cieniu przez następne pół godziny, zanim przyszedł leśnik i powiedział, że odjeżdża

pusty powóz do zamku i możemy się nim zabrać, jeżeli chcemy. Zaspany i uparty po winie, von Eichbrunn żądał, żebyśmy wracali do szpitala, gdzie chciał dokończyć siesty, a ja nie mogłem się nie podporządkować. Na miejscu musiałem mu dać słowo, że nigdzie bez niego nie wyjdę, wobec czego, podczas gdy on poszedł do łóżka, żeby odespać skutki obiadu, upału i niepożądanego wysiłku fizycznego, ja również położyłem się w swoim pokoju i czekałem najcierpliwiej, jak mogłem.

Zawołał mnie już po zmierzchu i był w paskudnym humorze, robiłem więc, co mogłem, żeby go rozruszać, bo obawiałem się, że jeszcze się rozmyśli i nigdzie nie pójdziemy. Jednak mimo skarg na ból głowy i żołądka wyraźnie zależało mu na tej wizycie, niepokoił się nawet, że mógł przespać część atrakcji.

Wysokie okna Wielkiej Sali przywitały nas pomarańczowym blaskiem, kiedy wreszcie wydostaliśmy się z labiryntu zamku i znaleźliśmy się w małym parku przed wielkim budynkiem. W półmroku przed głównym wejściem kręcili się jacyś ludzie i von Eichbrunn z wielką ostrożnością poprowadził mnie od tyłu, gdzie w cieniu przypory znaleźliśmy wąskie drzwi, prowadzące do kręconych schodów. Doszliśmy nimi do bardzo wąskiej galerii, której mrok rozjaśniało tylko światło, wpadające przez wąskie szczeliny w murze, oddzielającym nas od Wielkiej Sali. Galeria doprowadziła nas do małego sześciokątnego pomieszczenia, w którym na wysokości piersi znajdowało się okrągłe okno, nie oszklone, tylko przesłonięte pięknie rzeźbioną kamienną kratą. Trącony przez doktora spojrzałem przez nią w dół i stwierdziłem, że mam doskonały widok wnętrza Wielkiej Sali, a nasze okno jest usytuowane w jednym z rogów, na wysokości około trzydziestu stóp od podłogi.

Nie mieli tu elektryczności, ale sala była dobrze i bogato oświetlona. Na wysokości mniej więcej dziesięciu stóp od podłogi wokół ścian biegł kamienny występ, a na nim, w krótkich, regularnych odstępach, stało przeszło czterdzieści figur, które początkowo uznałem za identyczne srebrzyste posągi, każdy z metalowym drągiem, zakończonym misą, z której strzelały jednostajne żółte płomienie. Kiedy jednak przyjrzałem się lepiej, zobaczyłem, że figury oddychają i czasem się poruszają: były to młode kobiety z ciałami albo pokrytymi srebrzystą farbą, albo ubranymi w tak obcisłe, idealnie dopasowane kostiumy, że żywe kobiety do złudzenia przypominały rzeźbiarskie akty. Połączony blask ich pochodni zalewał salę w dole i rzuca łagodne światło na rzeźbione belki stropowe i ledwo widoczne nad nimi wymyślne wiązania dachu.

Po dwóch dłuższych bokach sali występy, na których stały figury z pochodniami, wspierały się na pionowych belkach, a pomiędzy każdą parą belek znajdowała się płytki alkowa. Wzdłuż całej sali przed tymi alkowami biegła szeroka kamienna ława szczerze przykryta skórą żubrów, niedźwiedzi i jeleni, podczas gdy w samych alkowach te same skóry pokrywały kobierce z delikatniejszych futer lisów, wydr i kun. Między tymi dwoma podwyższeniami, choć w sporej od nich odległości, stał wielki stół, przy którym swobodnie mogła zasiąść setka ludzi. Świta gauleitera liczyła nie więcej niż dwanaście osób, oprócz nich w kolacji uczestniczyło dwunastu do czternastu oficjeli grafa. Wszyscy siedzieli w wygodnych od siebie odległościach przy jednym końcu stołu, tam, gdzie na honorowym miejscu, twarzą w stronę naszego okna, królował w wielkim rzeźbionym fotelu sam Hans von Hackelnberg.

Spodziewałem się imponującej postaci. Wyobrażałem go sobie jako kogoś podobnego z twarzy i zachowania do dawnej

wschodnioeuropejskiej arystokracji. Tymczasem jedyną cechą wspólną między moim obrazem von Hackelnberga a rzeczywistością była dzikość. Jednak człowiek, który tam siedział, dominując nad stołem, dominując nad całą wielką salą, miał w sobie tej dzikości więcej, niż kiedykolwiek widziałem, więcej, niż byłem sobie w stanie wyobrazić. Nie należał ani do moich czasów, ani do czasów doktora, od brutalnych i krzykliwych polityków nazistowskich dzieliło go więcej, niż mnie od nich. Ich brutalność wywodziła się z miejskiej, zmechanizowanej cywilizacji stada, z podłego okrucieństwa radiowej krzykaczki i tyranii pistoletu automatycznego. Hans von Hackelnberg natomiast należał do czasów, w których przemoc i okrucieństwo miały bardziej osobisty charakter, kiedy władza wynikała z własnej osobistej siły; taka indywidualna dzikość należała do czasów kiedy po pradawnych mrocznych puszczech Germanii wędrowały tury i niedźwiedzie.

Nigdy nie widziałem większego człowieka: przy nim olbrzymi tron, na którym siedział, i potężny dębowy stół przed nim wyglądały jak rzeczy normalnych rozmiarów, a reszta biesiadników wydawała się dziećmi.

Przycięte na jeża kasztanowate włosy sprawiały, że potęga jego wielkiej czaszki i byczego czoła wydawała się jeszcze bardziej potworna. Miał obwisłe wąsy i płową rozwidloną brodę, która połyskiwała w świetle pochodni, kiedy gwałtownie zwracał głowę, wodząc spojrzeniem po swoich gościach. Górna część jego ciała ubrana była w zielony kaftan bez rękawów, przecięty wyszywanym złotem pasem do kordelasa, na szyi miał masywny złoty łańcuch, a jego potężny biceps otaczała złota bransoleta w staroceltyckim stylu.

Graf nic nie jadł, ale co jakiś czas chwycił stojący przed nim róg, opróżniał go i odstawiał na miejsce z powstrzymaną

dziką siłą, jakby jego ramię, raz wprawione w ruch, chciało samo z siebie uderzać i niszczyć. Co jakiś czas odcinał kawał pieczeni ze stojącego przed nim udźca i rzucał warującym za jego plecami psom. Gwałtowność tego gestu i towarzyszący mu dziki błysk w oku zdradzały niedwuznacznie, że chętnie rzuciłby tak głowę gauleitera. Kilkakrotnie odchyłał głowę i wpatrywał się w belki stropu albo powoli i groźnie toczył wzrokiem po trzymających pochodnie kobietach, jakby postrach jego ściągniętych brwi zapewniał, że żadna nie śmie nawet drgnąć. Stwierdziłem wówczas, że oczy ma jasnobrażowe, a żółte światło pochodni zapalało w nich chwilami czerwone błyski, jak rozżarzone węgle.

Przybyliśmy, kiedy uczta dobiegała końca, a przynajmniej, kiedy goście zaspokoiли już swój apetyt na pieczeń. Nakarmiono ich z rubaszną szczodrością z ogromnych kawałów wołowiny, baraniny i wieprzowiny jak również dziczyzny i na stole panował prawdziwie średniowieczny chaos ociekających tłuszczem desek do krojenia mięs, wielkich cynowych, srebrnych półmisek i talerzy. Młodzi leśnicy, bogato przyodziani w satyny i brokaty, napełniali stojące przed każdym gościem drewniane naczynia piwem a wielkie krowie rogi winem.

Hałaśliwa kompania była już w trzech czwartych pijana. Rozwaleni na krzesłach wrzeszczeli i ryczeli pieśni, przekrzykując się nawzajem, robiąc większe zamieszanie niż angielscy studenci oblewający zwycięstwo swojej drużyny wiosłarskiej. Wrzawa wcale nie ucichła, kiedy sześciu wysokich młodych leśników w imponujących zielono-złotyach strojach ustawiło za tronem grafa niskie podium i uniósłszy swoje srebrne trąbki zaczęło odgrywać myśliwskie sygnały. Graf z odrzuconą do tyłu głową słuchał tej muzyki w ponurym skupieniu, a tymczasem wbiegła drużyna niewolników i

uprzątnęła rozległy stół ze wszystkiego prócz naczyń do picia.

Kiedy wszystko zostało wyniesione, trębacze ucichli na kilka chwil, po czym zagrali szybką, wesołą melodię, jakąś na wpół znajomą myśliwską piosenkę i ta galopująca, dziarska muzyka uciszyła wreszcie pijacki gwar gości, skłaniając ich do rytmicznego podrygiwania.

Nagle otwarło się dwoje szerokich podwójnych drzwi na końcu sali i znów truchtem wbiegli niewolnicy, niosąc po czterech ogromne metalowe pojemniki z kopulastymi pokrywami. Przebiegli tak wzdłuż obu stron stołu i zsunęli swoje brzemiona na czarne, polerowane drewno stołu w taki sposób, że po chwili każdy gość miał przed sobą monstrualny półmisek, mogący pomieścić całego barana albo jelenia. Grupa niewolników wskoczyła na stół i każdy stanął przy jednym półmisku, chwytając za ucho pokrywy. W tym czasie młodzi leśnicy obchodzili gości i wręczyli każdemu po kordelasie.

Graf Hans von Hackelnberg powoli podniósł się za stołem, jego podwładni poderwali się i odsunęli o krok, goście też, biorąc przykład z gospodarza, mniej lub bardziej chwiejnie powstali i zataczając się, pytająco spoglądali to na grafa, to na wielkie półmiski przed sobą. Trębacze zagrali jedną nutę i zamilkli.

- Panowie! - krzyknął graf głosem jak ryk byka. - Zapraszam was do skosztowania zwierzyny, którą ustrzeliliście!

Niewolnicy jednym ruchem zdjęli pokrywy półmisków i unieśli je wysoko nad głowami, po czym przedefilowali środkiem stołu i pośpiesznie opuścili salę.

Przed każdym gościem leżał na półmisku, odsłonięty teraz, „ptak”, którego upolował na porannych łowach, pozbawiony już piór, tylko w masce z dziobem i ciasno związany, kolana do szyi, ręce do kostek nóg. Leśnicy odstawili gościom krzesła i

gestem wskazali, gdzie należy przeciąć więzy „ptaków”, a potem dyskretnie kiwnęli głowami w stronę wyścielonych skórami legowisk.

Goście wydawali się początkowo zbyt zaskoczeni, żeby skorzystać z tych sugestii, ale po chwili gauleiter, siedzący po prawej stronie grafa i mający przed sobą dorodne brązowe stworzenie w barwnie zdobionej masce dzikiego indyka, odcinającej się od bujnej grzywy jej jasnych włosów, wybuchnął śmiechem i schylił się, żeby uszczypnąć krągłe udo swojego „ptaka”. Za jego przykładem niektórzy goście z lubieżnymi uśmiechami unieśli noże, ale zanim któryś z nich zdążył przeciąć więzy swojej ofiary, Hans von Hackelnberg huknął w stół rękojeścią swojego kordelasa.

– Panowie! – ryknął i natychmiast zapanowała kompletna cisza.

– Panowie! – powtórzył graf już bardziej ludzkim głosem, choć nadal mówił tak głośno, że w swoim małym pomieszczeniu słyszeliśmy każde jego słowo, i tak dobitnie, że rozumiałem prawie wszystko. – Mam nadzieję, że spożywanie waszych „ptaków” sprawi wam nie mniejszą uciechę niż sprawiło wam ich ustrzelenie. Zwierzyna jest wasza, niech każdy zaspokoi swój apetyt tak jak lubi, a jeżeli ktoś uzna, że mięso jest zbyt łykowate jak na jego podniebienie, moi chłopcy rozmiękczą je dla niego. – Tu wskazał na głównego leśniczego, który szczerząc zęby uniósł pejcz i przeciągnął go powoli przez palce drugiej dłoni. – Ale – ryknął graf, nagle znów gwałtowny i władczy – zanim przystąpicie do konsumpcji, zapraszam was, żebyście zobaczyli to samo apetyczne mięso ale w innej skórce. Pohamujcie, panowie, swoje apetyty na dziesięć minut, a dam wam pokaz kobiecości, który wam ten apetyt jeszcze zaostrzy. Gwarantuję. Bitte! Her Gauleiter!

Tu wziął swojego głównego gościa pod ramię i poprowadził go do głównych drzwi, poza zasięgiem naszego wzroku. Leśnicy wzięli pod rękę pozostałych gości, którzy, bardziej zdziwieni tym nagłym przerwaniem im zabawy niż wcześniejszą jej ofertą, zostali niczym oszołomione stado wyprowadzeni z sali, nie spróbawwszy swoich przysmaków stygnących, że tak powiem, na półmiskach pod okiem młodych paziów leśników, którzy z kielichami w ręku szykowali się, żeby przeczekać przerwę na wyściełanym skórąmi podwyższeniu.

Podczas gdy goście opuszczali salę, dziewczęta z pochodniami zrobiły w prawo i w lewo zwrot i wymaszerowały po swoich kamiennych występach, zostawiając do oświetlenia sali mniej więcej jedną trzecią ze swojej liczby.

Doktor zaklął, zawiedziony, że widowisko przerwano, zanim się na dobre zaczęło, po czym pociągnął mnie gwałtownie za rękaw.

– Zejdźmy na dół – szepnął – przynajmniej się napijemy, zanim wrócą. – I pośpiesznie ruszył wąską galerią.

Nie miałem innego wyjścia, jak pójść w jego ślady, zdołałem tylko spytać, dlaczego nie możemy obejrzeć tego drugiego widowiska.

– Nie, nie, nie! – zakrzyknął doktor z niespodziewaną gwałtownością. – Za nic w świecie! Napijmy się, na Boga!

Zbiegł prawie po spiralnych schodach, a ja tuż za nim, ale postanowiłem mu uciec. Żółte pochodnie, uformowane w dwa równe rzędy, posuwały się równym krokiem w ciemnościach w pewnej odległości od budynku. Przy jego końcu kręcił się spory tłumek niewolników i innych słabo widocznych postaci, i podczas gdy doktor truchtem ruszył do głównego wejścia, bez trudu uwolniłem swój rękaw z jego uchwytu i

wmieszałem się w milczącą gromadę. Nie słyszałem nawet, żeby mnie wołał, kiedy przeciskałem się między niewolnikami, śpiesząc za pochodniami. Myślę, że bał się pozostać samemu w ciemnościach zamku i czym prędzej wrócił do sali.

Po kilku minutach dogoniłem koniec pochodu i dołączyłem do grupy leśników. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, chociaż blask pochodni musiał ujawnić moją twarz i pozbawiony oznak strój. Srebrnoskóre dziewczęta, który wzrost, godny grenadierów, mogłem dopiero teraz ocenić, maszerowały paradnym krokiem, wysoko unosząc kolana, trzymając pochodnie równo i sztywno. Leśnicy rozmawiali między sobą przyciszonymi głosami, natomiast goście, ochłodzeni nocnym powietrzem, zachowywali niezwykle jak na nich milczenie, a graf von Hackelnberg, nadal ściskając ramię gauleitera i górując nad wszystkimi, kroczył wprost przed siebie bez słowa wyjaśnienia.

Przebyliśmy w ten sposób kilkaset jardów, aż wkroczyliśmy między wysokie żywopłoty i domyśliłem się, że jesteśmy w pobliżu zagród dla zwierzyny, które widziałem rano. Dwa rzędy nosicielek pochodni rozeszły się tutaj w lewo i w prawo, a graf i reszta towarzystwa czekała, aż pochodnie zaczną się na powrót zbliżać do siebie, tworząc przed nami duży owal. Wówczas graf, z nową u niego nutą wesołości w głosie, zaprosił gości do zajęcia miejsc.

Przesunąłem się do przodu i zobaczyłem w świetle pochodni szeroki wał ziemny, otaczający dziwny owalny placyk czy boisko. Graf posadził gauleitera obok siebie na wewnętrznej pochyłości wału, a reszta towarzystwa przy pewnej pomocy leśników rozsiadła się po obu ich stronach. Cicho przesunąłem się na obrzeże gości i spojrzałem w dół. Srebrne dziewczyny pochyliły teraz swoje długie pochodnie,

oświetlając placyk otoczony wałem, wysokim na piętnaście do dwudziestu stóp i wyposażonym w trybuny z gładkich jasnych desek, w środku pokryty krótko przystrzyżoną trawą. Na przeciwnych końcach żelazne kraty zamykały wejścia do tunelu pod wałem. Była to miniatura rzymskiej areny, choć w prymitywnym rustykalnym wydaniu.

Nagle zmroził mnie wysoki, dziki odgłos rogu. Mimowolnie rozejrzałem się nerwowo, podobnie jak wszyscy zebrani, widocznie nawet dziewczyny z pochodniami, bo światła wyraźnie zafalowały. To graf von Hackelnberg wstał i podniósł do ust ogromny i kręty srebrny róg, którego lśniący krąg przechodził przez jego ramię i opasywał ciało. Zadał w niego co sił w płucach i potężny, natarczywy głos, tak bliski i tak natychmiastowo odbijający się od nacierającej ze wszystkich stron leśnej gęstwiny, był prawie nie do zniesienia.

Kiedy ucichł, usłyszałem zgrzyt otwieranej kraty. Na czerwono oświetlony owal boiska wyszło trzech młodych ludzi, ubranych od stóp do głów w te dziwne zbroje, które rano widziałem w magazynie. Przekonałem się teraz, że nie były zrobione ze stali ani innego metalu, ale z jakiegoś innego materiału, który, choć twardy i odporny, dawał pełną swobodę ruchów. Pierwsi dwaj trzymali długie bicze z plecionych rzemieni, a trzeci prowadził dwa daniele, dwa łagodne, dobrze odżywione centkowane stworzenia z jedwabnymi wstążkami na szyjach.

Wyszli tak na środek areny i tam się zatrzymali. Jelonki drżały trochę i garnęły się do przewodnika, który trzymał je za wstążki, strzygły niespokojnie wielkimi uszami i unosiły głowy z dużymi, wilgotnymi oczami, które zapalały się zielonymi błyskami w świetle pochodni.

Von Hackelnberg wydobył z rogu jeszcze jeden krótki, wysoki, rozkazujący dźwięk i zanim jego głos ucichł,

usłyszałem odzew. Zza drugiej kraty zbliżał się znany mi skowyt, który słyszałem rano, z narastającą teraz nutą pożądania albo głodu. Krył się w nim ten sam przerażający podkład na poły ludzkiego bełkotu, ale głośniejszy teraz i bardziej natarczywy, przechodzący w odrażające miauczenie, tak działające na nerwy doktorowi.

Krata uniosła się z brzękiem i na arenę wpadło około dwudziestu dużych zwierząt.

Pomyślałem przez chwilę, że to gepardy, skaczące z taką gwałtownością, że zdawały się biec na tylnych łapach. Jednak zanim jeszcze zorientowałem się, że to nie zwierzęta, usłyszałem wybuch gromkiego śmiechu grafa i zrozumiałem, czym chciał przerwać lubieżną rozrywkę swoich gnuśnych gości. Te piękne, cętkowane futra lśniące pod nami w świetle pochodni napinały się na plecach i krągłych piersiach zespołu młodych kobiet tak dobranych wzrostem, wiekiem i proporcjami, że niewątpliwie oko konesera wyszukało je na wszystkich farmach hodowli niewolników całej Wielkiej Rzeszy. Były silne i kształtne, nie pulchne, ale pełne i tak tryskające zdrowiem, że gładkie krzywizny ich ciał i kończyn wywoływały zachwyt, jaki budzi niezwykła kobieca uroda, a jednocześnie gra mięśni, napinających się pod ich lekko opaloną skórą, budziła we mnie coś poza podziwem, jakiś lęk, wręcz strach przed siłą, dziką zwierzęcą siłą, którą kryły w sobie te pozornie urocze i kobiece istoty. W bezruchu mogły służyć za modelki rzeźbiarzowi, szukającemu ideału kobiecej urody, ale kiedy wybiegły na tę arenę, okrążając ją płynnie z szybkością, za którą oko ledwie mogło nadążyć, były całkowicie odczłowieczone: kobiety przekształcone diabelskimi siłami hodowli i treningu w wielkie, elastyczne, szybkie i groźne koty.

Ich głowy i szyje kryły obcisłe hełmy z cętkowanej skóry ze

zgrabnymi, okrągłymi uszami lamparta, ale owale ich twarzy, pozostawały odsłonięte i każdą z nich, na którą padło światło, wykrzywił grymas, odsłaniający silne białe zęby, a w każdej parze oczu świecił się blady płomień czystego szaleństwa. Ich skrzeczący wrzask brzmiał teraz jak pieśń opętańca, a jego bełkotliwy podkład można było uznać za pośpieszną i niezrozumiałą mowę. Przypomniała mi się uwaga doktora o niemych niewolnikach i domyśliłem się, że i te kobiety przeszły przez ręce chirurgów.

Obcisłe futrzane kaftany okrywały ich barki, ręce i tułowie do granicy dolnych żeber, dalej przechodziły w zwężający się pas wzdłuż kręgosłupa, który tuż nad pośladkami kończył się pokrytym krótkim włosem ogonem. Na nogach miały wysokie miękkie buty z tej samej cętkowanej skóry. Jednak częścią ich stroju, która od początku przykuła mój wzrok, były dziwne rękawice, jakimi kończyły się ich obcisłe rękawy. Połyskiwała tam stal i choć trudno było utrzymać wzrok na jednej z nich, podczas gdy biegły i skakały wokół areny, poznałem, że każda ma umocowaną na dłoniach parę tych niesamowitych szponiastych kastetów, które widziałem w sali zbrojowni. Wyobraź sobie cztery wygięte stalowe paski, połączone jakąś elastyczną podkładką, i jedno przeciwstawne ostrze z boku, wszystko dostosowane idealnie do ludzkiej dłoni tak, żeby czubki palców wchodziły w wydrążone podstawy lamparcich pazurów, i umocowane po wewnętrznej stronie dłoni za pomocą rzemieni, opasujących przegub, grzbiet dłoni i każdy z palców. Spostrzegłem, że paski stali muszą być giętkie jak sprężyny, bo „kocice” mogły na pół zamykać dłonie i w swoim biegu chwilami przechodziły na czworaki, dotykając ziemi pięściami, i kiedy któraś z nich przebiegała w ten sposób koło mnie, słyszałem wyraźnie szczeł stalowych pazurów.

Jak tylko „kocice” wypadły na wybieg, trzech leśnicy stanęli

ciasną grupką pośrodku pola. Dwaj z nich, niczym treserzy w cyrku, zwrócenii plecami do siebie z batami w dłoniach, nadzorowali drapieżny zespół w biegu, podczas gdy trzeci trzymał dwa przerażone i wyrywające się daniela. „Kocice” były na wpół dzikie i tylko bicze dozorców nie pozwalały im wyłamać się z biegu po kręgu i rzucić do środka. Ilekroć któraś próbowała to zrobić, spadał na nią ciężki bicz, umiejętnie tnący po nieosłoniętych udach i pośladkach, i po każdym trzaśnięciu bata wrzask pozostałych narastał, podczas gdy ta, na którą spadł bicz, podskakiwała, tańcząc z bólu i wściekłości, parskając i wygrażając dozorcóm stalowymi pazurami. A ponad całym tym zgiełkiem raz po raz rozlegały się potężne wybuchy śmiechu Hansa von Hackelnberga.

Dozorcy utrzymywali swoje „kocice” w biegu dookoła areny aż ich uda spłynęły potem a piersi zaczęły falować. Wtedy graf zadał w róg raz jeszcze, wstał i zagrał przeciągłą, zamierającą nutę, płaczącą muzykę śmierci.

Jak tylko zaczął grać, nieznośny wrzask na arenie w dole przeszedł w pełne oczekiwania skomlenie, a kiedy się urwał, trzech strażnicy biegiem rzucili się do otwartej kraty.

Natychmiast i w zupełnej ciszy, bardziej przerażające w swojej milczącej, szybkiej determinacji niż w całej poprzedniej wściekłości, „kocice” rzuciły się na dwa jelonki. Biedne stworzenia wyskoczyły wysoko w górę, ale połyskujące stalowe pazury cięły i chlastały, chwytaly i zagłębiały się w szyje i uda, rozdzierały brzuchy i boki. Nastąpiła chwila potwornego kłębowiska ciał, wierzgających nóg i drgających pośladków, podczas gdy głowy i ramiona pracowały zażarcie w głębi dwóch grup drapieżnic. Nagle do moich nozdrzy dotarł zapach ciepłych wnętrzności i cofnąłem się od skraju areny. W chwilę później „kocice” rozbiegły się po całym boisku i nie zwracając uwagi na swoich dozorców, rozrywały i pożerały

kawały surowego mięsa, ściskanego w krwawych pazurach. Jedynym odgłosem było teraz mlaskanie, przerywane cichymi warknięciami, kiedy „kocice” otarły się o siebie. Plamy krwi pokrywały ich twarze, futro na piersiach i ramionach, a także jasnobrązowe brzuchy i gładkie uda.

– Es ist zu Ende! Komm, meine Herren! – krzyknął tubalnie Hans von Hackelnberg. Leśnicy poderwali się, dziewczęta z pochodniami zrobiły zwrot i w dwóch rzędach pomaszerowały z powrotem do Wielkiej Sali. Goście w milczeniu, odwracając głowy, przechodzili obok potężnej postaci grafa, który czekał, żeby zamknąć pochód. Trząśnięcie przy tym ze śmiechu, spoglądając z okrutnym rozbawieniem na stadko wstrząśniętych notabli. Nie wyglądali na mężczyzn, którzy za chwilę będą się oddawać frywolnym uciechom. Zobaczyłem naszego poznanego rano grubego myśliwego, jak podtrzymywany przez dwóch leśniczych żałośnie wymiotował pod drzewem.

Czekałem, aż ostatnia para dziewcząt z pochodniami zejdzie z trybun w nadziei, że von Hackelnberg podąży za swoimi gośćmi, ale teraz wokół areny zapłonęły jakieś jasne białe latarnie i nie chcąc rzucać się w oczy jako samotna postać, dołączyłem do ostatniej grupki kilku młodych leśników, żeby z opuszczoną głową przejść przed grafem.

Już myślałem, że mi się udało, kiedy ciężka dłoń na moim ramieniu zatrzymała mnie z taką siłą, jakbym zderzył się z konarem dębu. Obrócił mnie, pytając, kim jestem, i znalazłem się na wprost tej rozwidlonej płowej brody, tych szerokich, śmiejących się ust i tych płonących oczu w odległości nie większej niż dwie stopy. Nagle drugą ręką zatrzymał ostatnią ze srebrnych dziewczyn. Jej pochodnia zakołysała się i znieruchomiała prosto nad moją twarzą. Graf powtórzył swoje pytanie, tym razem z wyraźną groźbą. Leśnicy zebrali się

wokół nas i spoglądali bezradnie jeden na drugiego. Poznałem wśród nich jednego, który widział mnie rano na polowaniu. Zanim zdołałem pozbierać w głowie dość niemieckiego, żeby odpowiedzieć, on zaczął coś wyjaśniać, pukając się przy tym w czoło.

– Wiem! Wiem! – przerwał mu wielki łowczy, po czym, ściskając moje ramię tak, że omal nie połamał mi kości, zwrócił się do mnie. – So! To ty jesteś ten specjalista od ucieczek, eh? Chcesz być wolny, to będziesz wolny. Na swobodzie w lesie! Wypędźcie go do lasu, chłopcy! Wypuście go, niech szuka pożywienia razem z jeleniami!

Pchnął mnie tak, że się zatoczyłem i podchwycili mnie leśnicy. Instynktownie stawiałem im opór, ale nie miałem żadnych szans. Szybko zrozumiałem bezsens tracenia sił w nierównej walce, opanowałem nerwy i pozwoliłem się odprowadzić.

Rozdział siódmy

Rozkaz grafa został wykonany natychmiast. Jego ludzie, którzy jeżeli nie byli przyjaźni, to w każdym razie nie okazywali mi wrogości, kiedy rano byłem wśród nich w towarzystwie doktora, teraz traktowali mnie i moje pytania z nie większą uwagą, niż gdybym był zwierzęciem. Zajmowali się mną z szorstkim, gruboskórnym profesjonalizmem, nie bijąc mnie wprawdzie, kiedy wykonywałem polecenia z ociąganiem, ale dając mi natychmiast jasno do zrozumienia, że wszelka próba oporu jest bez szans.

Zaprowadzili mnie do jakiegoś pomieszczenia w jednym z budynków w pobliżu wybiegów dla zwierzyny i tam zmusili mnie do zrzucenia ubrania, które pożyczył mi doktor i założenia dziwnego stroju, jaki wyjęli z dobrze zaopatrzonego magazynku. Nowe ubranie składało się ze spodni do kolan, wykonanych z jakiegoś szczególnego materiału, który można by na pierwszy rzut oka wziąć za jelenią skórę, a który jednak był tkaniną, elastyczną niczym żywa skóra i pokrytą od zewnątrz meszkiem, krótkim i układającym się jak sierść zwierzęcia. Dali mi też obcisłą bluzę z długimi rękawami z tego samego materiału a potem, z zadziwiającą pieczołowitością, dobrali mi parę mokasynów z prawdziwej jeleniej skóry, które mocno i wygodnie przyłgnęły do moich

stóp.

Gdy tylko zostałem tak wyposażony, wyprowadzono mnie na dziedziniec, gdzie czekał już mały konny furgon, a właściwie nie tyle furgon, co kwadratowa drewniana klatka na kołach. Wepchnięto mnie do środka i z dwójką leśniczych, siedzących na dachu, powieziono mnie ciemnym leśnym traktem.

Jechaliśmy szybko pod górę a potem w dolinę niezłą drogą gruntową przez jakieś cztery do pięciu mil, cały czas przez gęsty las dębowo-bukowy. W pewnej chwili zatrzymaliśmy się i kazano mi iść w ślad za woźnicą, niosącym latarnię ze swojego pojazdu. Pozostali dwaj szli za mną i czułem na plecach lufę strzelby. Posuwaliśmy się wąską piaszczystą ścieżką przez dużą polanę, księżyc był przesłonięty chmurą. Mogłem nagłym skokiem uciec swoim strażnikom, ale czułem, że nie grozi mi z ich strony bezpośrednie niebezpieczeństwo: rozkazy von Hackelnerga, choć dziwne, były całkiem jasne i najwyraźniej miały zostać wykonane dosłownie. Wiedziałem już, że lasy von Hackelnerga są niezwykle skutecznie ogrodzone i być puszczonej wolno w nich oznaczało tylko znalezienie się w większym więzieniu, ale uzyskanie swobody ruchu w ich obrębie oceniałem jako krok zbliżający mnie do wolności i nie chciałem zmarnować swoich szans, ryzykując postrzał w nogi.

Zatrzymaliśmy się i latarnia oświetliła mały szałas, stojący w kępie drzew. Zbudowany był z przeplecionych gałęzi i przykryty grubą trzciniową strzechą. Ustawiono mnie na wprost małego, ciemnego otworu wejściowego i jeden z leśników powiedział:

- Zostajesz tu. Jedzenie znajdziesz w pobliżu, ale jeżeli cię zobaczymy, poszczujemy cię psami i zastrzelimy jak dzikie zwierzę!

Po czym uderzeniem kolby posłał mnie twarzą naprzód w ciemności szałasu, gdzie upadłem na podłogę oszołomiony i bez tchu. Kiedy się pozbierałem, latarnia zniknęła już na skraju polany.

Poruszając się po omacku, nagle cofnąłem się przerażony, gdyż natknąłem się na coś włochatego i żywego. Usłyszałem też zduszony skrzek i zrozumiałem, że to coś jest bardziej przerażone niż ja. Rozległ się głośny szelest słomy czy suchych liści i coś dużego otarło się o moje nogi, usiłując uciec przez drzwi. Złapałem to coś i stwierdziłem, że trzymam człowieka.

Osunął się bezwładnie na ziemię, łkając i mamrocząc tak cicho i niewyraźnie, że nie wiedziałem, czy są to słowa, czy tylko bełkotliwe dźwięki, jakie byli w stanie wydawać wszyscy niewolnicy grafa. Potem, kiedy wziąłem go pod pachy i podniosłem, uspokoił się nieco i dotarło do mnie, że mówi po francusku.

Chociaż drżał i pojękiwał ze strachu, pozwolił mi dotknąć swojej twarzy i tułowia, dzięki czemu przekonałem się, że ma długie włosy i brodę, a ubrany jest w taki sam imitujący sierść strój jak i ja. Był niski i chyba sporo ode mnie starszy. Starając się uspokoić go w swojej kiepskiej francuszczyźnie, posadziłem go obok siebie na legowisku ze słomy, które odkryłem w głębi szałasu.

W końcu nabrał do mnie zaufania i zaczął lękliwie dotykać mojej twarzy i odzieży, aż wreszcie spytał mnie, kim jestem. Odpowiedziałem mu bardzo zwięźle, że jestem Anglikiem i zbiegiem z obozu jenieckiego, że podczas ucieczki natknąłem się na ogrodzenie z promieni, otaczających las Hackelnberg, i że po wyleczeniu przez tutejszego doktora zostałem wypuszczony do lasu na rozkaz grafa von Hackelnberga. Na dźwięk tego imienia zadrżał i wydał głęboki jęk.

– Zabiją cię tu – powiedział szlochając. – Zabiją cię. Zabiją

nas wszystkich. Przeganiają mnie z miejsca na miejsce. Szcują mnie i nie mam chwili spokoju. Nie mogę spać. Ja wariuję! – Powtarzał wielokrotnie to „ja wariuję”, podnosząc głos do krzyku strachu i rozpaczony, który mną wstrząsnął do głębi.

Wkrótce uwierzyłem, że mój współlokator faktycznie jest bardzo bliski szaleństwa, doprowadzony do tego stanu przez jakieś okropne przeżycia, których nie potrafił jasno opisać. Sądziłem, że uspokoi się bardziej, kiedy zapytam go o jego historię, ale on nie był zdolny skupić się dłużej niż przez chwilę na czymkolwiek, poza strachem czającym się w lesie. Drgał niczym dzikie zwierzę na najmniejszy odgłos, dobiegający spoza szałasów, uciszał mnie przeciągłym sykiem i sztywniał na całym ciele, nasłuchując odległych, nieokreślonych dźwięków.

Zrozumiałem tylko, że był człowiekiem wykształconym, chyba pisarzem, bo bełkocąc bez ładu i składu, popłakiwał jak dziecko, tłumaczące się z postępuku, za który dostało baty, z jakichś listów czy artykułów, które napisał. Na swoje usprawiedliwienie przytaczał zbiór źle wymawianych niemieckich nazwisk i zawodził:

- Ja tylko pisałem to, co oni. Nie wiedziałem, że to coś złego. Dlaczego mnie ukarano? Dlaczego nie pozwolono mi na odwołanie błędów? Wiedzieli, że nigdy bym tego nie napisał, gdybym wiedział, że to coś złego. Specjalnie wprowadzili mnie w błąd, żeby się nade mną znęcać, żeby z mojej śmierci urządzać sobie pośmiewisko. O, Boże, Boże! Zabijają mnie dla rozrywki!

Spędziłem chyba pół nocy, siedząc na wiązce słomy z tym biednym szaleńcem, to usiłując go uspokoić, to próbując wydobyć z niego jakieś bliższe informacje na temat tego, co go tak przeraża, choć Bóg mi świadkiem, że widziałem swoją porcję horrorów Hackelnerberga i mogłem sobie wyobrazić

inne, mogące doprowadzić człowieka do szaleństwa. Czułem, że mój towarzysz, niezależnie od psychicznego napięcia, jest śmiertelnie wyczerpany fizycznie, ale kiedy pytałem go, co robi w lesie za dnia, skąd bierze jedzenie i czy ten szałas stanowi jego mieszkanie, albo nie odpowiadał, albo mamrotał pod nosem z jakąś egoistyczną chytryością pomyleńca, że mi nie powie, bo go zdradzę.

Zgłodniałem już, a w szałasie nie było nic do jedzenia. Byłem też zmęczony i czując, że nic więcej nie mogę zrobić dla tego Francuza, ani on dla mnie, a także wierząc, że nic mi z jego strony nie grozi, wyciągnąłem się na słomie i zasnąłem.

Obudziło mnie słońce i stwierdziłem, że jestem sam. Las wokół szałasu był cudem świeżej zieleni, złota, chłodu, radości i piękna. Rozejrzałem się po polanie, posłuchałem śpiewu ptaków, przeciągnąłem się i odetchnąłem pełną piersią. Może moja wolność była tylko wolnością względną, ale smakowała jak wolność prawdziwa i w tym świetle wczesnego poranka, wobec tych drzew tak rzeczywistych, tak wiernych swojej naturze, tak spokojnie i doskonale realizujących odwieczny cykl przyrody, nie mogłem wprost uwierzyć w prawdziwość tych diabelskich zniekształceń naturalnego piękna, tych deformacji i poniżenia istot ludzkich, jakie oglądałem poprzedniego dnia przy świetle pochodni. Rozglądałem się za moim małym współmieszkańcem, śmiejąc się z jego lęków, ale nigdzie go nie było. Śmiałem się ze swojego wyglądu: w tych futrzanych spodniach do kolan przypominałem Robinsona Crusoe po strzyżeniu.

Dziwiło mnie, że gospodarstwo grafa trwoni tak znakomitą tkaninę na przestępców, bo za takiego, zapewne, byłem uważany. Nie pasowało mi to do hitlerowców, którzy nie marnowali dobrych ubrań na ludzkie odpadki, przeznaczone do likwidacji, potem jednak przypomniało mi się wyszukane

bogactwo strojów dziewcząt-ptaków. Chociaż więc nie podzielałem lęku małego Francuza przed gwałtowną śmiercią, nie miałem wątpliwości, że obaj mamy wyznaczone role w jakimś fantastycznym przedstawieniu grafa.

Gdzieś z niewielkiej odległości dobiegał mnie szmer płynącej wody. Przepisnąłem się przez krzaki i zalesionym zboczem poszedłem w stronę tego odgłosu. W cieniu buków z niewielkim poszyciem mały, czysty strumyk spadał po kamieniach do zapraszającego zagłębienia z piaskiem i żwirem. Zanim jednak zdążyłem się do niego zbliżyć, dzikie ujadanie psów zmusiło mnie do powrotu w zarośla, skąd obserwowałem, jak kilku leśniczych z parą psów dzikarzy robi coś przy prostym stole z bali nieco dalej w dół strumyka. Jeden z przybyszów spojrzał w moją stronę i bez żadnego ostrzeżenia nagle uniosł dubeltówkę i strzelił. Schyliłem się instynktownie, gdy tylko lufa się uniosła, i usłyszałem, jak drobny śrut siecze liście i gałązki nad moją głową. Kuląc się biegiem wróciłem do szałasu i nie wychodziłem z niego, póki nie usłyszałem oddalających się głosów psów. Wtedy dopiero z największą ostrożnością, nasłuchując i rozglądając się, opuściłem osłonę zarośli.

Stwierdziłem, że strażnicy zostawili na stole sporo jedzenia: chleb, ser, ziemniaki, surowe jarzyny i jabłka. Byłem głodny i już miałem chwycić bochenek chleba, kiedy niczym kubeł zimnej wody spadło na mnie nagłe podejrzenie i rzuciłem się na powrót w gąszcz: przyszło mi do głowy, że jestem wabiony, żeby wyjść leśniczym na cel.

Chyba z godzinę czałem się w zaroślach i choć zgłodniały, nie miałem odwagi zbliżyć się do stołu. Samą groźbą udało im się przemienić mnie w dzikie zwierzę. Nie chodzi o to, że bałem się ich strzelb i psów, ale nie chciałem ryzykować zranienia, które przekreśliłoby moją szansę ucieczki. Jednak

skutek był ten sam, czy nazwiemy to tchórzostwem, czy ostrożnością, leżałem z cierpliwością zwierzęcia, czekając, aż będę absolutnie pewien, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. W końcu zbiegłem na dół, pośpiesznie zaspokoilem pragnienie, schwyciłem, ile się dało, jedzenia i wróciłem w zarośla. Nie wróciłem do szałasu, tylko znalazłem miejsce na skraju otwartej przestrzeni, gdzie jedząc, miałem dogodne pole obserwacji.

I to była cała gorycz tej mojej „wolności”: wiedziałem, że zostałem wypuszczony dla jakiejś okrutnej rozrywki grafa, ale nie wiedziałem jaką formę ona przyjmie, jakiego zagrożenia czy pułapki mam się wystrzegać. Ten las był piękny niczym rajski ogród, ale ja nie mogłem się nim cieszyć, bo wszystkie moje zmysły zajmowały się śledzeniem sygnałów niebezpieczeństwa.

A jednak miałem swój cel. Pochlebiałem sobie, że jestem upieczony z innej mąki niż ten roztrzęsiony francuski literat. Nie twierdzę, że lubię, kiedy do mnie strzelają, ale uczestniczyłem w paru akcjach i świstały mi koło uszu rzeczy większego kalibru niż śrut. I tak, czując się znacznie lepiej po posiłku, wyruszyłem na pierwszy zwiad.

Stwierdziłem, że las wcale nie jest taki dziki i nieprzebyty, jak sądziłem. Wiele oznak wskazywało na to, że jest starannie pielęgnowany. Poza pozostawionymi tu i ówdzie kępami chaszczy poszycie było wycięte, zwalone drzewa popiłowane i ułożone w sagi przy duktach, na których trawa była wyraźnie strzyżona. Las Hackelberg tylko swoją rozległością różnił się od lasów otaczających wiejskie rezydencje w Anglii. Miał też podobną atmosferę prywatności i wyłączności.

Przez cały poranek nie spotkałem żadnego żywego stworzenia poza paroma ptaszkami i wiewiórkami. To też mnie zdziwiło, póki nie zastanowiłem się nad uprawianym tu

stylem polowania. Goście von Hackelnberga chcieli trofeów bez wysiłku, nie zaś niepewności uganiania się za dzikim jeleniem. Ale przecież słyszałem, jak sam graf jeździ po nocy, grając w lesie na swoim rogu. Jaką zwierzynę ścigał w blasku księżyca? Znałem już, jak mi się wydawało, odpowiedź na to pytanie i spoglądałem co jakiś czas na niebo, żeby sprawdzić, ile godzin pozostało do zachodu słońca.

Był chyba środek popołudnia, kiedy dotarłem do ogrodzenia. Obszedłem rozległe, pagórkowate wrzosowisko, otoczone ze wszystkich stron sosnami i trzymając się cienia drzew, zmierzałem do pasma lasu za wrzosowiskiem. Kiedy stanąłem na skraju pierścienia sosen, stwierdziłem, że od tamtego pasma lasu dzieli mnie szeroka strefa krótkiej trawy, ciągnąca się szerokim łukiem w lewo i w prawo, jak daleko sięgałem wzrokiem. Na przestrzeni co najmniej dwustu jardów nie mogło przemknąć się niezauważone żadne stworzenie większe od lisa, ale co ważniejsze, moją uwagę natychmiast przyciągnęła wysoka drewniana wieża strażnicza, stojąca pośrodku bezdrzewnej strefy w odległości około czterystu jardów ode mnie. Na szczycie wieży znajdowała się kryta budka, nie mogłem więc stwierdzić, czy jest obsadzona, ale miałem wewnętrzną pewność, że lorneta i celownik karabinu czuwają nad tą otwartą przestrzenią.

Sam płot wyglądał na śmiesznie niewystarczający: pojedynczy szereg cienkich metalowych słupków, a na nich trzy pasma błyszczącego w słońcu zwykłego drutu. Podczołgałem się na brzuchu najbliżej, jak się ośmieliłem, wykorzystując wrzosy, wychodzące poza skraj sosen. Rzeczywiście nie wyglądało to na drut kolczasty, a w dziennym świetle nie widziałem tej dziwnej poświaty, która zwróciła moją uwagę tamtej nocy, kiedy w blasku księżyca dotarłem do Hackelnbergu.

Posunąłem się jeszcze o parę cali i mój ruch spłoszył parę cietrzewi, które z furkotem zerwały się z wrzosowiska w odległości kilku jardów. Patrzyłem, jak odlatują w stronę tego drugiego lasu za płotem. Kogut leciał wysoko, ale kura, pozostająca nieco z tyłu, dużo niżej; widziałem, że jeżeli się nie wzbije wyżej, z trudem pokona górne pasmo drutu na wysokości dziesięciu stóp. Kura zobaczyła drut i wzniosła się nieco, ale mimo to nagle spadła jak postrzelona celnym ładunkiem śrutu. Usłyszałem odgłos upadku jej ciała na twardą, nagą ziemię przy samym płocie. A jednak mogłem przysiąc, że nie dotknęła drutu; byłem pewien, że spadła, kiedy od płotu dzieliła ją odległość około dwóch stóp, a poza tym gdyby go dotknęła, duży ptak lecący ze sporą prędkością, zauważyłbym wibrację drutu, bo był w słońcu bardzo dobrze widoczny. Spojrzałem szybko na wieżyczkę, szukając jakiejś reakcji na to wydarzenie, ale nie dostrzegłem żadnego ruchu.

Przeczołgałem się dalej w lewo, trzymając się przez cały czas krzaczastego skraju lasu. Znalazłem parę miejsc, w których mogłem dużo bardziej zbliżyć się do bariery i mogłem stamtąd stwierdzić, że na odległość około dwóch stóp po obu stronach dolnego drutu ziemia jest absolutnie naga na całej długości płotu. Tu i ówdzie na tym pozbawionym trawy spieczonym pasie zauważyłem kępki piór i sierści, pozostałości innych ptaków i małych zwierząt, które natknęły się na ogrodzenie.

Jakieś pół mili dalej zobaczyłem następną wysoką wieżę strażniczą: można się było domyślać, że są rozmieszczone w podobnych odległościach wzdłuż granicy lasu, tak że cała długość płotu znajduje się pod obserwacją. Gdyby tak nie było, pomyślałem, już bym dawno nie żył i nie mógł tu leżeć, i oglądać ich z tej strony płotu. Pozostawałem tam w ukryciu przez pewien czas, porządkując moje obserwacje i oceny.

Uznałem, że mam teraz dowody na to, jak daleko sięga skuteczność promieni Bohlena, których nosicielem były rozpięte na słupkach przewody. Jeżeli skuteczny promień rażenia każdego pasma drutu wynosi dwie stopy, to cały płot stanowił śmiertelną przeszkodę szerokości czterech stóp i dwunastu stóp wysokości. Właściwym rozwiązaniem był najwyraźniej podkop. Fakt, że poza strefą dwóch stóp rosła gęsta i zdrowa trawa, dowodził, że ziemia nie przewodziła promieni na żadną znaczącą odległość. Jednak jak dotychczas nigdzie nie udało mi się zbliżyć do ogrodzenia bliżej niż na czterdzieści jardów. Czy starczy mi czasu, żeby wykopać w pojedynkę i takimi narzędziami, jakie uda mi się zdobyć tunel długości co najmniej pięćdziesięciu jardów?

Wyruszyłem w drogę powrotną do szałasów bardzo wcześnie rano, a że idąc w tę stronę, znaczyłem drogę, robiąc ostrym kamieniem nacięcia na drzewach i wydrapując strzałki na ziemi, to mimo kilku pomyłek doszedłem na swoją polanę przed nocą. Rozwazałem w umyśle możliwość uniknięcia nieprzyjemności, które graf dla mnie przygotował i zastanawiałem się nad metodą proponowaną przez Francuza, to znaczy nad codzienną zmianą miejsca noclegu. Potem jednak jakiś instynkt, nazwijmy to uporem czy dumą, zbuntował się przeciwko temu, żeby dać się zaszczuć jak zwierzę, umykać jak kot przed psem i dostarczać im rozrywki, o którą im chodziło. Jeżeli przyjdą żeby się nade mną pastwić, będę się bronił w swoim legowisku. Rozpaczliwie pragnąłem wolności, ale jeszcze bardziej od nierównej walki obawiałem się, że mogę zostać takim zastraszoną, oszalałym szczątkiem ludzkim jak ten Francuz.

Wróciłem więc, a że nikogo nie widziałem ani nie słyszałem, podszedłem śmiało do stołu, najadłem się z pozostawionych na nim produktów a resztę zabrałem do

szałas. Potem nazbierałem długich i prostych suchych gałęzi i zrobiłem z nich niezgrabną kratę, zasłaniającą otwór wejściowy. Wiedziałem, że nie powstrzyma napastników, ale przynajmniej trzask gałęzi obudziłby mnie, gdyby ktoś się włamywał. Na koniec położyłem przy swoim legowisku najmocniejszy kij, jaki udało mi się znaleźć oraz spory kamień.

Noc spędziłem niespokojnie. Mimo zmęczenia długim marszem nie mogłem zasnąć. Doszły do głosu wszystkie lęki w ciągu dnia stłumione fizyczną aktywnością, a nieustanne szepty, westchnienia, szelest i trzaski lasu, stanowiły dla nich doskonałą pożywkę. Moja wyobraźnia interpretowała nawet rozpoznawalne dźwięki, takie jak głosy sów, jako skrzek tych przerażających stworzeń z klatek von Hackelnberga; słyszałem szelest kroków jakiegoś małego zwierzaka w suchych liściach i wyobrażałem sobie ludzkie pawiany krążące wokół szałas.

A jednak to nie wyobraźnia sprawiła, że poderwałem się przed świtem i nasłuchiwałem, wpatrzony w szarzejący prostokąt wejścia. Zbudził mnie bez wątpienia dźwięk rogu, bardzo odległy, grający jedną przeciągłą nutę, jaką myśliwy zwołuje psy na zakończenie polowania. Noc była bezchmurna, księżyc w drugiej kwadrze, przecinki w lesie wystarczająco oświetlone. Przedranny chłód przenikał przez ażurowe ściany szałas i trząsałem się z zimna.

Skoro tylko pokazało się słońce, postarałem się pokonać poczucie obezwładniającej beznadziei. Moje plany pozostawały jak na razie nie sprecyzowane; miałem parę pomysłów, których nie konfrontowałem ze znanymi mi faktami, z obawy przed totalnym rozczarowaniem. Na początek postawiłem przed sobą ograniczone zadanie zdobycia jakiegoś narzędzia albo broni i najlepszym planem, jaki mi przyszedł do głowy, było sprawdzenie, czy nie uda mi

się czegoś wyprosić albo ukraść z gospodarstwa doktora. Nie chciało mi się wierzyć, że pielęgniarki, które tak dobrze się mną opiekowały, okażą się pozbawione litości albo tak ślepo posłuszne i pedantyczne, jak twierdził doktor.

Odczekałem pod osłoną zarośli, aż strażnicy przyniosą na stół świeżą porcję jedzenia, z której wziąłem mały bochenek chleba i parę jabłek, schowałem je za pazuchę swojej kurtki i wyruszyłem na poszukiwanie szpitala. Zadanie było trudne i męczące, a także nie pozbawione ryzykownych momentów. Chociaż unikałem wszystkich dróg i przecinek, które mogły prowadzić bezpośrednio do zamku, to kilkakrotnie omal nie natknąłem się na grupy ludzi. Słyszałem głosy strażników, tętent koni i raz musiałem leżeć nieruchomo w wysokiej trawie na wysokim brzegu, podczas gdy łożyskiem strumienia przedelfilowała powoli grupa leśniczych z dwoma posokowcami na smyczach i czterema chłopcami pawianami niosącymi sieci. Pochód zamykało kilku leśniczych, którzy nieśli strzelby, strzelające sieciami, i czujnie rozglądali się dokoła.

Wczesnym popołudniem dostrzegłem przez korony drzew pierwsze zarysy zabudowań zamku i kierując się w tamtą stronę wolno wędrowałem przez las. Zupełnie przypadkowo, w łagodnie przeświecającym przez liście słońcu, znalazłem się w zielonym tunelu ścieżki, wychodzącej wprost na białą ścianę szpitala i wąski pas trawy, po którym niedawno spacerowałem z pielęgniarką.

Nadal nie miałem żadnego określonego planu. Wiedziałem tylko, gdzie mieści się kuchnia, i liczyłem na to, że obserwując ją zza drzew, wypatrzę dogodny moment, żeby wpaść i porwać tasak, szufelkę, duży nóż, jakiegokolwiek przydatne do moich celów narzędzie. Gdyby niewolnicy nie dali mi szansy wślizgnięcia się tam za dnia, miałem zamiar czaić się w lesie,

aż pójdą spać, i wtedy spróbować włamania.

Kiedy, czołgając się za drzewami, wyrząłem za róg budynku na stronę, gdzie mieściły się pokoje pielęgniarek, zobaczyłem moją siostrę dzienną, która siedziała samotnie na ławce pod ścianą i czytała jakieś ilustrowane pismo. Pod wpływem nagłego impulsu śmiało podszedłem do niej i powiedziałem dzień dobry.

Zerwała się ze zduszonym okrzykiem i rozpoznawszy mnie zasłoniła usta grzbietem dłoni. Patrzyła na mnie z przerażeniem, z oczami tak pełnymi śmiertelnego strachu, że nie mógłbym chyba zrobić na niej większego wrażenia, gdybym się pojawił przed nią o północy w grobowym całunie. Nie odpowiedziała mi. Podejrzewam, że nie słyszała nawet, co do niej mówię, stała tylko jak sparaliżowana, przyciskając dłoń do warg. Nie wiedziałem, czy mam ją przekonywać, że nie jestem zjawą, czy że nie mam wobec niej złych zamiarów, ale w tym momencie usłyszałem za sobą kroki, i obejrzawszy się, zdążyłem zobaczyć, jak jedna z pozostałych pielęgniarek znika za rogiem z głośnym krzykiem. Niemądrze pobiegłem za nią, chcąc ją powstrzymać od podnoszenia alarmu, było już jednak za późno. Po stopniach werandy zbiegli trzej rośli niewolnicy z miotłami w dłoniach i zaatakowali mnie nimi, przy akompaniamencie chrapliwych okrzyków. Broniełem się, jak mogłem, ale wkrótce pojawili się następni niewolnicy, uzbrojeni już w pałki, i otrzymałem kilka poważnych ciosów w głowę i ramiona. Nagle otworzyło się oko i kątem oka ujrzałem nalaną twarz samego doktora, który okrzykami zagrzewał niewolników. Zawołałem do niego po angielsku, ale on tylko wrzasnął na mnie z jakąś paniczną nienawiścią. W końcu uciekłem stamtąd, osłaniając głowę przed ciosami, żeby schronić się pod osłoną lasu.

Niewolnicy nie ścigali mnie poza granicę drzew, ale

odbiegłem jeszcze spory kawałek, zanim usiadłem, żeby policzyć swoje siniaki i zastanowić się nad sytuacją.

Wyraźnie nie miałem szans na włamanie się do szpitala tej nocy. Zapewne nie tylko zabezpieczą okna, ale i niewolnicy zwiększą czujność, a po doktorze można było oczekiwać, że zawiadomi strażników leśnych. Najwyraźniej mój strój określał mnie jako zwierzynę grafa i wszyscy drżeli na myśl, że mogliby mi udzielić schronienia albo innej pomocy.

Do zmierzchu wędrowałem w stronę szałasu, ale kiedy ciemność zastała mnie przy poletku wysokiej suchej trawy pod kępą krzaków, postanowiłem zostać tutaj. Noc była dojmująco zimna i nad ranem trochę padało, ale przynajmniej nie słyszałem rogu grafa.

Chyba głód zaprowadził mnie następnego dnia rano do szałas. Rozważałem w myśli plan zakradnięcia się do samego zamku, zdobycia tam jakiejś innej odzieży, żeby zrzucić z siebie tę zmieniającą mnie w zwierzę łowne liberię z imitacji jeleniej skóry, i znalezienia jakiejś broni lub narzędzia. Uważałem, że gdyby tylko udało mi się ukraść strój leśnika, to w labiryncie zamkowych zabudowań, wśród tylu kręcących się ludzi, mógłbym o zmierzchu kilkakrotnie wejść tam i wyjść nie zauważony. Musiałbym tylko mieć jakiś zapas żywności. Ten pomysł musiał zaczekać do następnej nocy.

Wróciłem do szałas dość późnym przedpołudniem i zakładałem, że strażnicy dawno już wyłożyli jedzenie na stole nad strumieniem i odeszli. Jednak kiedy skradałem się przez zarośla nad brzegiem, kątem oka dostrzegłem jakiś ruch w półmroku lasu. Rozchyliłem liście i stwierdziłem, że to nie strażnicy, ale jedna dziewczyna w pozie wyrażającej najwyższą czujność, rozglądająca się na boki i gotowa rzucić się do ucieczki na każdy odgłos, ale pochłaniająca jedzenie z wilczym apetytem.

Szczątki jej stroju były wciąż rozpoznawalne i nie miałem wątpliwości, że widziałem już te czarne włosy i te długie nogi. Przypomniałem sobie polowanie z psami i chłopcami pawianami, i poczułem się ogromnie podniesiony na duchu, że im się nie udało złapać „ptaka”, do którego chybił nasz gruby myśliwy. Udało się jej rozerwać maskę i zsunąć ją z twarzy, tak że dziób sterczał teraz do góry jak czub hełmu. Powyrywała też sobie lotki i pozbyła się złoto-brązowego ogona, ale wąski pas, do którego był umocowany, pozostał. Pióra na jej gorsecie przedstawiały żałosny widok i do pasa była zmazana zeschniętym błotem, jakby wędrowała przez bagna.

Zastanawiałem się, jak ujawnić swoją obecność, żeby jej nie spłoszyć i uznałem, że najlepiej będzie pokazać się w pewnej odległości w górę strumienia, gdzie będzie mogła spokojnie mnie zobaczyć i stwierdzić, że nie jestem strażnikiem leśnym, zanim do niej podejść. Przemieściłem się pod osłoną zarośli a potem swobodnym krokiem zszedłem na brzeg strumienia.

Uciekła skacząc między drzewami jak prawdziwa łania. Bez pośpiechu zbliżyłem się do stołu, wziąłem kawałek chleba i jadłem go, rozglądając się uważnie dokoła. Nigdzie ani śladu dziewczyny. Odczekałem chwilę i odezwałem się po angielsku. Dostrzegłem w zaroślach ruch nisko zwieszającej się gałęzi i wiedziałem już, że mnie obserwuje. Powiedziałem znów parę słów po angielsku, licząc na to, że chociaż mnie nie zrozumie, to dźwięk obcego języka przekona ją, że jestem tak jak ona więźniem albo niewolnikiem. Żadnej reakcji. Wpatrywałem się uporczywie w miejsce, gdzie dostrzegłem poprzednio ruch liści: uznałem, że widocznie wspięła się po niskich konarach wielkiego buka i ukryła się w jego koronie.

Wtedy, nie zastanawiając się nad tą przerażającą luką w historii, którą dziwnym trafem przeskoczyłem, i nie pamiętając, kiedy i gdzie widziałem ten znak, zrobiłem znak

„V”, wiesz, ten gest Churchilla, który, jak twierdzili nasi propagandziści, znany był w całej okupowanej Europie.

Liście znów się poruszyły i ukazała się ręka, odpowiadająca mi tym samym znakiem. Poszedłem do granicy gałęzi i zacząłem mówić, najlepiej jak potrafiłem po niemiecku, że widziałem, jak uciekła w czasie polowania, że ja też jestem więźniem grafa...

Przerwał mi zdecydowany głos, mówiący czystą angielszczyzną:

– Jeżeli znasz względnie bezpieczne miejsce, chodźmy tam porozmawiać. Ty idź pierwszy, ja pójdę za tobą.

Podziwiając spokój i opanowanie w jej głosie i odczuwając wzruszenie ze znalezienia w tym lesie rodaczki, poszedłem wolnym krokiem do szałas, ale zamiast wejść do środka, wybrałem polankę, na której jadłem pierwszego dnia. Tam z trzech stron był dobry widok, a z czwartej gęste zarośla, przed którymi kępy bujnych ziół i traw zapewniały doskonałą osłonę w razie konieczności nagłej ucieczki. Nie oglądając się za siebie, wszedłem w tę niską dżunglę, a kiedy zatrzymałem się i kucnąłem, stwierdziłem, że dziewczyna jest tuż za mną i trzyma się tak nisko, że jest prawie całkowicie niewidoczna. Siedziała tam jak przepiórka, ukazując mi jedynie głowę w dziwnym hełmie z dziobem. Miała ładną twarz, lekko piegowatą, i szare, inteligentne oczy. Przyniosła ze sobą jedzenie i podczas rozmowy jadła, nie spuszczać ze mnie oceniającego spojrzenia. Wyraz jej twarzy nie zdradzał ani strachu, ani zmęczenia, jak można by oczekiwać, była w nim tylko czujność a chwilami, kiedy opowiadała mi o swoich przygodach, także determinacja.

Moja opowieść zabrzmiała dość nieprzekonywająco, uznałem bowiem, że nie powinienem wdawać się w próby wyjaśniania, czy raczej opisywania, mojego niewiarygodnego

przeskoku w czasie. Nie chciałem budzić w niej podejrzeń co do stanu mojego zdrowia psychicznego. Powiedziałem jej tylko, że uciekłem z obozu, zakładając, że coś takiego jak obozy koncentracyjne nadal w Rzeszy funkcjonuje. Przekonałem się, że uwięzienie Anglika w Niemczech nie było dla niej czymś niezwykłym, chciała jednak wypytywać mnie o mój obóz, o przyczynę skazania, o moich towarzyszy. Na szczęście zreflektowała się, jakby nagle zrozumiała i uszanowała przyczyny mojej powściągliwości. Miałem dość czasu, żeby zastanowić się nad swoim instynktownym gestem i byłem zdziwiony, że znak ten jest wciąż w użyciu po stu latach nazistowskiego panowania, spytałem ją więc ostrożnie, jak to się stało, że go rozumiała.

– Jak to? – spytała. – Przecież to znak używany w dawnym ruchu oporu. Nie jestem wielkim ekspertem od spraw podziemia: nie miałam wiele czasu na naukę, bo szybko wpadłam, ale słyszałam kiedyś na pogadance w naszej grupie szkoleniowej, że nasi chłopcy z ruchu pozdrawiali się tym znakiem za okupacji, no wiesz, po inwazji w czterdziestym piątym. Miał symbolizować szczerbinkę w celowniku używanych wtedy karabinów. Nie wiedziałam, że jacyś przyjaciele nadal go używają, ale zaryzykowałam, że jesteś jednym z nich, kiedy go zobaczyłam.

Wyglądała bardzo młodo, kiedy z poważną miną opowiadała o swojej „grupie szkoleniowej”. Mówiła z nagłymi przyływami pewności siebie i z równie niespodziewanymi wahaniem albo odniesieniami do skrótów literowych, zapewne inicjałów nazw podziemnych organizacji. Zrozumiałem jednak, że nawet po stuletnich totalitarnych rządach niemieckich, podziemie w Anglii wciąż działało, w każdym razie wśród młodzieży i studentów takich jak ona, chociaż nie był to już zbrojny ruch oporu, a raczej sprawa

celowych odstępstw od doktryny partyjnej, subtelnych różnic, które dla niej były śmiertelnie ważne, a mnie wydawały się równie drobiazgowo jak dysputy średniowiecznych teologów. A jednak, pomyślałem, odstępstwa od religijnej ortodoksji prowadziły w średniowieczu na stos. Moim zadaniem była walka z hitleryzmem na okręcie wojennym, ale walką było również, kiedy ona i jej podobni przekręcali partyjne hasła na jakimś studenckim wiecu. Niewątpliwie wymagało to większej odwagi, bo ja i moi towarzysze byliśmy wolnymi ludźmi i wyszkolonymi żołnierzami, mającymi za sobą potężne państwo. A ryzykowaliśmy tak samo: nie tylko życie, ale wszystkie tortury i poniżenia, jakie może zgotować swoim wrogom okrutny totalitaryzm.

Spytałem ją, w jaki sposób trafiła do Hackelnbergu.

Wzruszyła ramionami.

– Normalna sprawa. Nieostrożność i donosiciel. Miałam szczęście, bo nie potrafili znaleźć przeciwko mnie nic konkretnego, zostałam więc wysłana do zakładu reedukacyjnego w Prusach Wschodnich. To jest taka szkoła dla przywódców organizacji młodzieżowych. Kierują do niej oporny element, oczywiście rasy nordyckiej. Panujący tam klimat psychiczny ma wykorzenić z ich umysłów błędy. Poza tym, kadra potrzebuje materiału do ćwiczenia swoich zdolności przywódczych – oni lubią dostawać krnąbrnych Aryjczyków, zwłaszcza dziewczyny.

– Ale jak wpadłaś w łapy von Hackelnberga? – spytałem.

– Uciekłam z tej szkoły – powiedziała spokojnie. – Źle zrobiłam, wiem. Polityka przyjaciół jest taka, że jak cię wsadzą do szkoły reedukacyjnej, należy się podporządkować, opanować wszystkie sztuczki i udawać dobrego nazistę, żeby po wyjściu móc prowadzić podziemną robotę. Ale tam było piekło. Nie mogłam wytrzymać i uciekłam. Rzecz jasna, złapali

mnie. Ktoś, kto ucieka, zostaje sklasyfikowany jako niereformowalny i jest traktowany na równi z podludźmi. W ten sposób trafiłam tutaj. Ale dość o mnie. Chodzi o to, co zrobić z tobą. Ty jesteś w znacznie gorszej sytuacji niż ja.

Powiedziałem, że według mnie jedziemy na tym samym wozie.

- O nie! - zakrzyknęła z młodzieńczo szczerym pragmatyzmem. - Ja jestem cenną własnością, a ty tylko przestępcą, osobnikiem do likwidacji. Nie wiem dokładnie, co wielki łowczy robi z kryminalistami, których mu przysyłają, ale wiem, że to coś powolnego i krwawego. Czy to zdążyłeś zobaczyć?

Powiedziałem jej, na co kiwnęła głową.

- Nie widziałam tych kobiet-kotów, ale o nich słyszałam. I je słyszałam. Myślę, że są specjalnie preparowane. - Rzeczowy ton, jakim to powiedziała, wstrząsnął mną bardziej niż jej sugestia. Chirurgiczne usunięcie z doskonałego ciała ludzkiego elementu, który łączy je z nieśmiertelną duszą nie stanowiło dla niej mrocznej fantazji a normalną praktykę.

- Trzymają mnie tutaj od pół roku - mówiła dalej. - Jestem jagdstück - zwierzyną łowną, przeznaczoną specjalnie do tych polowań. Wybierają do tego te, które dobrze biegają, jest tu nas cała gromada, Aryjek i przedstawicielki podludzi. Między polowaniami nie jest najgorzej, leśnicy nie są na swój sposób tacy źli, póki nie przyjdzie czas polowania. Najgorsze są te psy, niby wiadomo, że nie należy uciekać, ale kiedy się je słyszy za plecami, nie można zapanować nad strachem. I ma się świadomość, że można zostać przez nie rozszarpanym, jeżeli się nie będzie uciekać, bo wtedy jest się nieprzydatnym do zabawy i służy się za ostrzegawczy przykład dla innych. I nawet najlepsi z tych leśniczych wpadają w szal, kiedy polują. Na mnie polowano już na różne sposoby. Zdarzają się tu

goście, którzy chcą zażyć więcej ruchu, niż ci od gauleitera. Zabierają ich wtedy na dzikie jelenie w dalszej części lasu a potem dla zabawy polują tutaj na nas. Wypuszczają nas do lasu dzień wcześniej a potem tropią nas z psami. Próbujesz się ukryć w najgęstszych zaroślach, ale kiedy ogary cię wytropią, oni spuszczają ze smyczy te dzikie bestie i wtedy rzecz jasna rzucasz się do ucieczki. Strzelają wtedy takimi małymi strzałkami, które wbijają się w ciało, i są oznaczone długimi kolorowymi nitkami, żeby było wiadomo, kto cię trafił. Przedtem przebierają cię jak łanię w strój z tej mocnej sztucznej skóry i zostawiają nagie miejsca, gdzie strzałki dobrze się wbijają ale nie wyrządzają trwałej szkody. Ale piecze to jak diabli, a żeby ją wyrwać, trzeba się zatrzymać. A tymczasem, jak tylko cię trafią, spuszczają na ciebie te pawiany, które mają cię złapać i związać. W tej grze ma się więcej szans: muszą cię trafić we właściwe miejsce, bo strzałka nie przebija sztucznej skóry, a jak nie ma czystego trafienia, to nie spuszczają tych małp. Polowali na mnie trzy razy i dwa razy im uciekłam.

- Ale chyba tropią cię później? - spytałem i opowiedziałem jej o pogoni z posokowcami i chłopcami pawianami, którą widziałem wcześniej.

- Tropili mnie wczoraj prawie przez cały dzień - odpowiedziała spokojnie - ale wymknęłam im się na bagnach. W końcu mnie złapią, czatując w miejscach, gdzie wykładają żywność, ale jeszcze sobie pobiegam po lesie.

- A czy nie boisz się tego, co zrobią, kiedy cię złapią?

- Nic nie zrobią. To prawda, że pozwalają tym małpom zabawiać się tobą trochę i to jest obrzydliwe. Ale nie karzą za to, że się uciekało, tego przecież oczekują. Kto się poddaje, ten psuje im zabawę.

- A jeżeli ktoś nie zechce uciekać?

- To zjedzą go psy - odpowiedziała ze spokojną pewnością.
- Ale jeżeli ktoś raz poczuł w sobie jedną z tych strzałek, zrobi wszystko, żeby jej nie poczuć po raz drugi. Oni je czymś smarują, żeby powodowały większy ból.

Siedzieliśmy w tej wysokiej trawie przez większą część letniego, ciepłego przedpołudnia i było dla mnie najdziwniejszym z cudów, że mogę słuchać tego miłego, młodego głosu, mówiącego moim ojczyzycznym językiem z taką niezwykłą mieszaniną naiwności i doświadczenia, z tak szczerą akceptacją niesamowitych okoliczności. Po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że ona uważa mnie za członka angielskiej organizacji podziemnej: słyszałem w jej głosie jakieś podporządkowanie, prawie szacunek, kiedy wspominała o mojej „robocie”, jakbym był doświadczonym spiskowcem, a ona skromną nowicjuską. Nazywała mnie „przyjacielem” tak często i z taką żarliwością, że, jak się domyśliłem, słowo to było uświęconą formą zwracania się wśród uczestników ruchu oporu, a kiedy zacząłem używać go w stosunku do niej, sprawiło jej to wyraźną przyjemność.

- Ale co mamy zrobić z tobą? - powtórzyła.

- Ja ucieknę - powiedziałem z pewnością siebie.

- Jak?

- Przez druty.

Pokręciła ze smutkiem głową.

- To niemożliwe. Tam jest promieniowanie Bohlena. Jedno dotknięcie i jesteś załatwiony. Rozmawialiśmy o tym, niektórzy inni niereformowalni Aryjczycy i ja. Jedna z dziewczyn, na którą polowano, bardzo się bała, że ją znów złapią i powiedziała, że kiedy ją będą ścigać następnym razem, pobiegnie wprost na ogrodzenie i zabije się. Kiedyś została wypuszczona jako łania razem ze mną i ukrywała się w pobliżu płotu. Wytropili ją i trafili, kiedy próbowała uciekać.

Widziałam, jak rzuciła się na druty. Ale nie zginęła, to znaczy, nie na miejscu. Widziałam, jak upadła i słyszałam, jak krzyczy z bólu. Przekonałam się, że oni wyłączają promieniowanie, kiedy coś dużego wpada na druty. Mogą to robić z tych wież strażniczych. Podnieśli tę dziewczynę i odwieźli. Myślę, że zmarła, z poparzeń. Nigdy już jej nie widzieliśmy.

Opowiedziałem jej o moim własnym przeżyciu z promieniami.

- Ale ja nie mam zamiaru rzucać się na druty - wyjaśniłem.
- Mój pomysł to podkop.

Chyba nie zrozumiała, zapoznałem ją więc z krecią robotą praktykowaną przez jeńców wojennych. Słuchała z uwagą i natychmiast dostrzegła oczywiste słabe strony mojego planu.

- To wymaga zbyt wiele czasu - wskazała. - Nawet gdybyśmy pracowali we dwoje. Nie dadzą ci spokoju przez tak długi okres.

- Ale w lesie oprócz mnie są zapewne jacyś inni przestępcy - argumentowałem. Powiedziałem jej o Francuzie. Wyglądało na to, że pozostawał na swobodzie dość długo. Wiedział chyba, jak się ukrywać.

Pochyliła głowę, aż cała jej twarz znikła za zasłoną traw.

- Nie wiem - powiedziała cichym, pełnym wahania głosem.
- Nie mam pojęcia, co się z nim stało. Słyszałam róg...

- Cóż - powiedziałem. - Mimo wszystko spróbuję. - Rzecz w tym, żeby zdobyć jakieś narzędzia. Znasz tutejsze stosunki lepiej ode mnie. Gdzie oni trzymają łopaty?

Kiedy przedstawiłem bliżej swój śmiały plan, zaakceptowała go z entuzjazmem i zaczęła z ożywieniem zastanawiać się nad zdobyciem narzędzi. Oświadczyła, że zna odpowiednie miejsce: pawilon Kranichfels. Ludzie, którzy nadzorowali dolinę ze stanowiskami myśliwskimi, tam trzymali swoje narzędzia. Wiedziała, jak się tam poruszać, bo

w czasie przygotowań do polowania tam trzymano ludzką zwierzynę. zaproponowałem, że pójde tam w nocy i zobaczę, co uda się ukraść.

- Nie, nie! - zaprotestowała. - Ja to zrobię! W tym stroju zostaniesz natychmiast rozpoznany. Ja mogę się tam wślizgnąć o zmroku nie budząc podejrzeń. Przebywają tam niewolnice i mogę udać jedną z nich. Pomóż mi tylko pozbyć się tej maski.

Różne części stroju dziewczyny ptaka zszywano w taki sposób, żeby same nie mogły ich zdjąć - w każdym razie bez pomocy nożyczek lub noża. Rozglądałem się, póki nie znalazłem, dwóch krzemieni, z których jeden rozłupałem, żeby uzyskać ostrą krawędź, po czym przepiłowałem szew, łączący maskę z jej gorsetem. Teraz, kiedy przyjrzałem mu się z bliska, zdumiewało mnie staranne i solidne wykonanie jej stroju.

- Ach, ta niemiecka solidność! - powiedziała z pogardą, wyrzucając maskę w zarośla. - To nie do wiary, ile trudu sobie zadają, żeby dopilnować każdego szczegółu. Ci starsi leśnicy są wręcz maniakami, a najbardziej nieludzkie jest w nich to, że nigdy nie widzą w tobie istoty ludzkiej: będą godzinami majstrować i wydziwiać, żeby cię odpowiednio przystroić do roli w jednym z ich przedstawień, a ty tymczasem czujesz, że oni nie mają najmniejszego pojęcia o kobietach i w ogóle o ludziach.

Na szyi miała cienki stalowy łańcuszek z blaszką. Obejrzałem ją, nie było na niej nazwiska, tylko kilka liter i numer. Dotykałem palcami cieplej i delikatnej skóry jej szyi i kiedy mówiła, wyczułem w jej głosie nowy, bardziej zdecydowany ton buntu. Nadal była tak bardzo dzieckiem, a została tak brutalnie zatrzymana na samym początku drogi, która powinna ją zaprowadzić do krainy miłości, zrozumienia i życzliwych stosunków między ludźmi. Tymczasem strumień jej życia został skierowany w tak dziwaczne i pokrętne

łożysko. A mimo to zachowała zadziwiającą równowagę psychiczną i niezmaconego ducha. Z każdą chwilą coraz bardziej podziwiałem jej odwagę i chłodny duch oporu, ale, co robiło na mnie największe wrażenie, co mi dawało lekcję pokory a jednocześnie nową nadzieję i poczucie celu, była jej niewinność i świeżość w tym zboczonym świecie. W lesie Hackelnergu była jak jedno z tych drzew, których nawet szalona wynalazczość wielkiego łowczego nie mogła zmusić, żeby rosły wbrew swojej naturze.

Rzecz w tym, że do tej chwili sztucznie ograniczałem swoje myślenie wyłącznie do problemu wydostania się za płot, ale przez cały ten czas nie miałem odwagi pomyśleć o tym, co leżało mi kamieniem na sercu: o owym przerażającym świecie niewolników, jaki spodziewałem się spotkać za ogrodzeniem Hackelnergu. Teraz dowiedziałem się, że żyją jeszcze gdzieś odwaga, duma i dawna chwała ludzkości. Przysiągłem sobie, że wydostaniemy się z Hackelnergu, że uciekniemy i odnajdziemy jej przyjaciół.

Obracałem ten blaszany numerki w palcach, a ona odchyliła głowę i unosząc podbródek, przyjmowała z cichym i ufnym zdziwieniem pieśczętę mojej dłoni na swojej szyi.

- Nie ma tutaj imienia - powiedziałem z pełną świadomością, jakie uczucie w stosunku do siebie rozpozna w moim głosie.

- Nazywam się Christine North - powiedziała. - Ale wszyscy mówili do mnie Kit.

Niewiele czasu spędziliśmy ze sobą: jeden dzień, od przedpołudnia do wschodu księżyca, jeden długi letni dzień. Najdłuższy w moim życiu. Czuję teraz, że nigdy nie znałem nikogo tak dobrze jak Kit. Czuję, że gdybym zaczął opowiadać o każdym drobiazgu, który zauważyłem i którym się tego dnia cieszyłem, do końca mojego życia nie zdołałbym rozładować

zasobów mojej pamięci. Wciąż mam przed oczami ten bogaty w szczegóły, skąpany w słońcu las. Myślę, że potrafiłbym dokładnie przypomnieć sobie ugięcie każdego źdźbła trawy, kształt każdego liścia i każdego pęczka sosnowych igieł, rozkład światłocienia, każdego żuczka i motyla, którego w tym dniu ujrzały moje oczy, zapach ziemi, trawy i sosen, letni śpiew owadów w moich uszach. A wszystko miało jeszcze jakiś rzadki posmak, który nie należał ani do jej, ani do moich czasów: coś w rodzaju tej słodkiej magii, która opromienia nasze wspomnienia letnich dni z dzieciństwa – ciepło i urok utraconego raju, kiedy żyłeś i bawiłeś się pod opieką rodziców, bezpieczny od wszelkiego zła i wolny od trosk, chłonąc całym sercem i duszą cuda żywej przyrody.

Wędrowaliśmy po Hackelnbergu jak para zakochanych, która się świeżo odnalazła w zaczarowanym lesie. Każdemu z nas nasza bezpośrednia przeszłość wydawała się równie odległa i nierzeczywista, jak jakieś złe czary, od których uwolniły nas promienie porannego słońca. Hans von Hackelnberg wydawał się złym olbrzymem z baśni, wierzyliśmy w niego nie do końca, tyle tylko, żeby nasza przygoda była bardziej ekscytująca. I planowaliśmy naszą ucieczkę ze śmiechem, jakby to była zabawa w podchody.

Przestaliśmy się przejmować dniem jutrzejszym. Znajdowaliśmy taką radość w odkrywaniu szczęścia bycia ze sobą, taki zachwyt w bezmiarze naszego nowo odkrytego świata i tak byliśmy pochłonięci badaniem otwierającej się przed nami krainy naszych serc, że cały ważny i rzeczywisty świat zdawał się zamykać w nas samych: my dwoje, wędrujący przez radosny letni las, stanowiliśmy cały świat.

Przez cały dzień nie widzieliśmy żywej duszy, nie słyszeliśmy głosu człowieka ani psa. To nieprzerwane sam na sam zrodziło w nas takie poczucie bezpieczeństwa, że szliśmy

sobie trawiastymi ścieżkami trzymając się pod rękę, powoli i beztrudnie, igraliśmy na polanach i śmialiśmy się na głos. Spędziliśmy w ten sposób cały czas aż do zmierzchu, wędrując swobodnie i klucząc, ale jednak zbliżając się pod wieczór do Kranichfels. Zatrzymywaliśmy się w znanych Kit dolinkach, żeby zrywać jagody i stojąc po pas w zaroślach jedliśmy sobie z dłoni, zaśmiewając się na widok fioletowych plam na swoich wargach.

Tuż przed zachodem słońca doszliśmy do miejsca, gdzie wapienne skałki nawisały nad strumykiem, który u ich stóp tworzył mały basen. Zeszliśmy na dół i usiedliśmy na trawiastym brzegu, skąd widzieliśmy odcinek ścieżki, prowadzącej do pawilonu Kranichfels, od którego, jak mówiła Kit, dzieliło nas nie więcej niż pół mili. Wieczór był idealnie spokojny i słońce zachodziło na bezchmurnym błękitnie. Skałki paliły się czerwonym blaskiem w ostatnich promieniach i grzały nas ciepłem, które nagromadziły w ciągu całego dnia.

- Ach, gdyby tak wykorzystali tę swoją władzę i przeznaczili ten piękny i spokojny las dla miłości: dla ciebie, dla mnie i dla wszystkich zakochanych, którzy mogliby po nim wędrować, póki są młodzi... - powiedziała Kit po dłuższym milczeniu.

Siedzieliśmy tak w milczeniu, aż pod drzewami zaczął się gromadzić mrok. Wtedy Kit zaczęła paznokciami rozrywać szwy swojego pierzastego gorsetu. Poszukałem ostrego odłamka skały i piłując szwy, uwolniłem ją od ostatniej części stroju. Powiedziała, że niewolnice, które mogłyby się kręcić wokół pawilonu w ten ciepły, letni wieczór, byłyby całkiem nagie. To wyróżniało niewolnice, wywodzące się z podludzi: jeżeli nie były przystrojone do jakiejś roli w przedstawieniu dla gości, ich letni strój służbowy stanowiła ich własna skóra. Gdyby w zapadających ciemnościach jakiś leśniczy zobaczył

Kit, jego wzrok przyciągnąłby błysk jej jasnego stalowego łańcuszka i uznałby to za obrożę niewolnicy. Po godzinie, o której niewolnice normalnie zamykano na noc, wymknęłyby się, zawierając gęstej ciemności lasu.

Zsunęła się ze skałek i wykąpała się w strumieniu, zmywając z siebie wszystkie plamy błota, a potem odprowadziłem ją kawałek ścieżką, póki nie kazała mi wracać do skałek, gdzie miałem na nią czekać.

Pozostając nadal w tym dziwnym przekonaniu, że nic złego nie może nas spotkać, nadal wierząc, że nasze spotkanie z Kit złamało zaklęcie złego czarownika, szedłem otwarcie trawiastym brzegiem strumyka. Poczucie, że uczestniczymy w jakiejś grze było tak silne, że nie czułem żadnego niepokoju o Kit: niecierpliwość, z jaką oczekiwałem jej powrotu, wynikała z potrzeby wzięcia jej w ramiona i dotknięcia jej warg swoimi. Zadanie, które sobie postawiliśmy na dzień następny, wydawało się wobec tego mniej ważne.

Mrok gęstniał a ja wciąż chodziłem wzdłuż strumyka, czekając na cichy okrzyk, który miał być dla mnie sygnałem. Odezwały się nocne odgłosy lasu: stłumione szepty, odległe krzyki i bliskie szelesty, do których zaczynałem przywykać. Zatrzymałem się w rzadkim brzozowym zagajniku i słuchałem. Czułem jakby niewidzialną tkaninę chłodu, rozciągniętą między ledwo widocznymi bladymi pniami. W słabej poświacie wypełniającej zagajnik zacząłem odczuwać nawrót tej czujności dzikiego zwierzęcia, tej gotowości do natychmiastowej ucieczki, znanej mi z czasu, kiedy byłem sam.

W wysokiej trawie, która wyglądała, jakby leżało w niej duże zwierzę, nadepnałem na coś, co nie było ani kamieniem, ani suchą gałęzią. Podniosłem to coś i bardziej dotykiem niż wzrokiem rozpoznałem mokasyn z jeleniej skóry, podobny do tych, które miałem na nogach. Był zimny i wilgotny, i moje

palce powiedziały mi, że podeszwa została zdeptana prawie na wylot. Stary but, wyrzucony w lesie, a jednak moje serce ścisnął strach. Chciałem natychmiast uciec z tego poletka wydeptanej trawy, ale zmusiłem się, żeby ją przeszukać, macając i wyteżając wzrok, chcąc znaleźć dowód, potwierdzający moje domysły. I znalazłem: porozrzucane strzępy tego samego materiału, który miałem na sobie, imitacji sierści, noszonej przez skazańców von Hackelnberga. Ale włosy na tych kawałkach były zmierzwione i pozlepiane czymś zapiekłym i stwardniałym na kamień. Pod wpływem ich dotyku w mojej pamięci zabrzmiała tęskna nieodwołalna nuta rogu, przeszywająca mroki przedświtu. Nie miałem odwagi szukać dalej, zresztą nie było potrzeby: zbyt dobrze znałem substancję, która zastygła na tych strzępach. Odrzuciłem je, wytarłem palce o chłodną trawę, choć były suche, i wyszedłem z zagajnika na otwartą przestrzeń.

Prawie pełny księżyc ukazał się nad szczytami drzew i rozbielił nasze skałki. Bojąc się światła prawie tak samo jak ciemności zagajnika, przykucnąłem w cieniu wysokiego brzegu i raz po raz myłem ręce w strumieniu, jakbym mógł w ten sposób pozbyć się ze swoich myśli obrazu strasznej śmierci Francuza.

Nie mogłem się doczekać powrotu Kit i po omacku, pod letnią pokrywą liści, przez którą nie mogło przebić się światło księżycy, poszedłem jej naprzeciw, żeby ją ostrzec, błagać, żeby biegła z powrotem do Kranichfels, poddała się niewoli i zniosła wszystkie upokorzenia, byle tylko stworzyć barierę między jej ciałem a okrutnymi kłami.

Posuwałem się powoli, bo bałem się zgubić drogę w nieprzeniknionych ciemnościach lasu, i co chwila objąłem się o drzewa, jednak po jakimś czasie znów zobaczyłem księżyc, a poprzez gałęzie zamigotało żółte światło, niewątpliwie z okna

pawilonu. Ukryłem się w miejscu, z którego mogłem obserwować odcinek oświetlonej księżycem ścieżki i czekałem.

Minęło dużo czasu i chociaż na próżno nasłuchiwałem odgłosu kroków Kit, to stopniowo zacząłem czerpać otuchę z faktu, że nie słyszałem też żadnego innego hałasu. Księżyc wznosił się coraz wyżej, ale biegły ku niemu tylko conocne leśne dźwięki.

Potem usłyszałem w pobliżu cichy szcęk metalu, trzasnęła sucha gałąź i powtórzył się szcęk metalu o metal. Półgłosem zawołałem Kit i zobaczyłem postać, która pojawiła się na ścieżce a po sekundzie znów skryła się w mroku. Zbliżyłem się do niej, wypowiadając uspokajające słowa. Wreszcie dotknąłem jej ramienia i stwierdziłem, że jest ubrana: miękki materiał, który napotkały moje palce, sprawiał wrażenie grubej wełny w dobrym gatunku albo aksamitnego futra, krótkiego i delikatnego jak skóra kreta. Kit śmiała się cicho z podniecenia i radości, ale nie odezwała się, póki nie doszliśmy do swoich skałek. Tam oparła się, zdyszana, i wręczyła mi małą ostrą łopatkę i piłkę do gałęzi.

- Trwało to tak długo - powiedziała - bo zapomniałam, gdzie jest ta szopa z narzędziami. Bałam się poruszać, póki się nie ściemniło, a po zmroku budynki się zamyka. Ale nawet po ciemku wiedziałam jak trafić do Ankleidezimmer. To miejsce, gdzie nas przebijają na polowania. Wiedziałam, że jest tam masa różnych rzeczy. Drzwi były zamknięte, ale zostawili otwarte okno. Wdrapałam się tam i znalazłam to ubranie, a potem okazało się, że drzwi do szopy były otwarte i wzięłam te narzędzia, zupełnie nowe! Nie mogłam tylko znaleźć żadnego ubrania dla ciebie.

Roześmiała się znowu. Była taka wesoła i rozradowana swoim sukcesem, że nie miałem serca powiedzieć jej o swoim

znalezisku i namawiać jej do poddania się. Dopiero, kiedy uklękała, żeby się napić ze strumyka i cała znalazła się w świetle księżyca, zrozumiałem że życie niewolników von Hackelnerga zostało przemyślane z tak maniakalną konsekwencją, wykluczającą ucieczkę od nadrzędnego szaleńczego tematu: ubranie Kit składało się z jednego obcisłego kombinezonu w rodzaju trykotów tancerzy, dostosowanego do kształtów ludzkich, ale utkanego z materiału do złudzenia naśladowującego skórę zwierzęcia. Kiedy Kit stała tak na czworakach z głową pochyloną nad wodą i niewidoczną twarzą, w tym okrywającym ją od stóp do szyi ciemnym, połyskliwym futrze, w którym odbijał się blask księżyca, wyglądała jak zwinne, smukłe zwierzę, które wymknęło się z mroku lasu do wodopoju. Przez chwilę wydała mi się zupełnie obca, z dreszczem lęku poczułem spadającą na nas powtórnie sieć czarów i zobaczyłem czerwone wargi von Hackelnerga, rozciągnięte w złośliwym uśmiechu na myśl, że zakończył nasze krótkie wakacje w postaci ludzkiej.

Chwyliłem Kit za rękę i poderwałem ją do postawy dwunożnej, a kiedy zobaczyłem, że przestraszyła się mojej gwałtowności, potrafiłem tylko wydukać, że jej strój wydał mi się bardzo dziwny.

– Dla ciebie pewnie tak – powiedziała trzeźwo. – Ja się na nie napatrzyłam. Niewolnicy noszą je w zimie, to znakomicie chroni przed wiatrem, deszczem i śniegiem.

– Chodźmy już stąd – powiedziałem, zebrałem narzędzia i poszedłem przodem, omijając stratowaną trawę i brzozy zagajnik.

Jeszcze nie było za późno, żeby jej powiedzieć i powinienem był to zrobić: powiedzieć, że mój plan jest do niczego, że von Hackelnerg na pewno nie zostawi nas w spokoju przez kilka tygodni potrzebnych na wydrążenie

tunelu. Ale ja sam wzbudziłem w niej entuzjazm do tego planu, nie tylko słowami, ale samą swoją obecnością i czułością przekonałem ją, że ucieczka jest możliwa: wydała się nam wykonalna, bo była tak upragniona. A Kit była tak dumna i zadowolona z tego, jak wykonała swoją część zadania, że nie miałem serca odbierać jej złudzeń.

Szliśmy szybko oświetlonymi blaskiem księżyca duktami i Kit przez cały czas ściszoneg głosem omawiała zalety różnych miejsc w pobliżu płotu, jakie zapamiętała, ale ja słuchałem jej z roztargnieniem. Musiałem wymyślić jakiś inny plan a nie potrafiłem. Ukradkiem sprawdziłem ostrość łopatki. Piłka stanowiła lepszą broń, ale łopatka była cięższa. Poprosiłem Kit, żeby poniosła piłkę.

Kierowaliśmy się do części lasu, która według Kit była najbardziej oddalona od zamku: dukty gorzej utrzymane, gęste poszycie i zwalone drzewa. Kit ukrywała się tu w czasie polowania na „sarny” i zwodziła psy i ludzkie „pawiany” przez tydzień. Nauczyła się znajdować tu drogę po ciemku, wyruszając po zmroku do stołów z żywnością w bardziej uczęszczanych częściach lasu. Z tego, co pamiętała, krzaki i wysokie wrzosa w tej dzikiej okolicy dochodziły do samego ogrodzenia. To było odpowiednie miejsce na nasz podkop, tam pracowalibyśmy po nocach i ukrywali się za dnia, a dla zdobywania żywności Kit poprawiłaby swoją strategię z Kranichfels i przenikałaby do kwater niewolnic w samym zamku. Kit oświadczyła, że aby pokonać niemiecką akuratność, należy zrobić coś zupełnie absurdalnego z ich punktu widzenia: Niemcom nigdy nie przyszłoby do głowy, że przedstawiciel rasy aryjskiej mógłby dobrowolnie udawać podczłowieka.

I tak Kit, pełna radosnej nadziei, a ja, rozpaczliwie szukający jakiegoś innego rozwiązania, dotarliśmy wreszcie

do wyżynnego terenu z rzadka porośniętego dębami z poszyciem złożonym z wysokich paproci i szorstkiej trawy. Noc była bardzo spokojna i wcale nie chłodna. Kit odetchnęła z ulgą i rozluźniła swój kombinezon pod szyją.

- Boże! - powiedziała. - Jestem ugotowana w tym stroju. Chciałabym...

Nagle umilkła i chwyciła mnie za ramię, a księżyc odbił się w jej szeroko otwartych oczach.

- Słyszałeś? - szepnęła.

Słyszałem. W końcu rozległ się ten dźwięk, którego nasłuchiwałem, odkąd znalazłem strzępy odzieży nieszczęsnego Francuza. Róg zagrał w oddali, ale w tej ciszy zabrzmiał bardzo wyraźnie. Przez rozświetlony księżycem las dochodziły do nas jego wesołe, rozigrane nuty, które w innej sytuacji skłoniłyby moją krew do tańca. Staliśmy jak skamieniali, nasłuchując jeszcze długo po tym, jak ucichł, nie mając odwagi spojrzeć na siebie. Rozległ się raz jeszcze, tryumfalny, radosny, podniecający i tym razem wtórowało mu niecierpliwe ujadanie ogarów, które złapały ślad.

Chwyciłem Kit za ramiona.

- Musisz wracać! Koniecznie! Wracaj do Kranichfels. Idź tam i poddaj się. Graf poluje teraz na mnie. Z dala ode mnie będziesz bezpieczna!

Nalegałem z całą gwałtownością, ale ona była nieugięta.

- Nie! Nie zostawię cię. Mogę ci pokazać różne kryjówki. Oni nic mi nie zrobią, nawet jeżeli będę z tobą. Znam głos tych psów, to nie są te bestie. Te są używane tylko do tropienia i nie spuszczają ich ze smyczy. Możemy je zmylić. Chodź! No, rusz się!

Uznałem, że w tym, co mówi, może być jakaś szansa. Tak czy inaczej, naszą jedyną nadzieją było dotarcie do znanych jej zarośli. Pobiegliśmy równym tempem ścieżką między

rzadkimi dębami.

Wkrótce otrzymałem dowód, że moja przeszłość to nie halucynacja, bo zdradziła mnie w tej niewiarygodnej terażniejszości. Powinienem móc utrzymać przełajowe tempo bez większego wysiłku, tymczasem podobnie jak podczas ucieczki z oflagu stwierdziłem, że dwa lata niewoli, niedożywienia i braku treningu pozbawiły mnie siły i wytrzymałości. Już po pierwszej mili spłynąłem potem, walczyłem o każdy oddech a nogi miałem jak dwie kłody. Nie próbowałem już namawiać Kit, żeby mnie zostawiła, nie tylko dlatego, że nie mogłem złapać tchu, ale również dlatego, że bez niej nie potrafiłbym utrzymać podobnego tempa. W tym wszystkim prześladowała mnie gorzka myśl, że nawet uciekając przed von Hackelnbergiem, realizujemy jego zamysł. Kit została wytrenowana w takim właśnie celu i wyobrażałem sobie, jak graf podziwia jej długi krok i spokojny oddech, uśmiechając się ze złośliwą dumą ze swojego dzieła.

Upłynęło nieco czasu, zanim usłyszeliśmy głos rogu ponownie i tym razem był słabszy, wyraźnie oddaliliśmy się od pogoni. Za to znaleźliśmy się w trudniejszym terenie i biegliśmy drózkami, które bardziej przypominały wyschnięte łożyska strumieni i gdzie łatwo było upaść i skręcić albo złamać kostkę. Na szczęście moje mokasyny z jeleniej skóry i miękkie buty Kit nie ślizgały się na gładkich kamieniach i poganiani strachem zbiegaliśmy z góry śmiałymi susami. Uznałem, że nasz zapach będzie mniej wyczuwalny na zimnych kamieniach i gdzie tylko mogliśmy, wybieraliśmy drogę po skalnych blokach, tworzących stok doliny. Naszym najpewniejszym sojusznikiem byłaby woda i Kit to właśnie miała na myśli. Wkrótce znaleźliśmy się wśród trzcin oraz rzadko rosnących brzoź i topól, blisko dna doliny, a potem poczułem, że grunt ugina się i mlaska pod moimi stopami.

Potem brnęliśmy coraz głębiej przez błotnisty gąszcz, aż woda sięgnęła mi do piersi. Wreszcie znaleźliśmy względnie twarde dno i, wiosłując rękami, przeszliśmy na drugą stronę wąskiego jeziora, zajmującego środek bagna. Tak dotarliśmy do zasilającego je strumienia, po czym ślizgając się po kamieniach i wpadając w dziury, poszliśmy jego korytem w górę doliny. Strumień doprowadził nas do wyżej położonego torfowiska i tak odpoczęliśmy, siedząc na elastycznej darni.

- Stracą dużo czasu na bagnie - wysapała Kit. - Będą musieli je okrążyć, żeby znów złapać ślad.

Ale teraz ona też się zgubiła i straciliśmy dużo czasu, krążąc po torfowych łąkach, zatrzymując się, żeby rozpoznać w blasku księżyca kształty niskich, zarośniętych pagórków. Kiedy znaleźliśmy się na powrót na twardym gruncie i Kit oświadczyła, że wie, gdzie jesteśmy, dogoniło nas ujadanie ogarów.

Parliśmy dalej, podbiegając tam, gdzie się dało, ale przeważnie tylko szliśmy, chwiejąc się i potykając. Kit była wyczerpana. Nie mieliśmy energii na słowa i poruszaliśmy się w milczeniu, bliscy fizycznie a jednocześnie zamknięci w swoich obolałych ciałach, zmuszeni siłą wyższą do skupienia się na swoich łomocących sercach, ciężko pracujących płucach i sztywniejących mięśniach. Niosłem nadal swoją łopatkę, choć Kit porzuciła już piłkę. Byłem zbyt wyczerpany, żeby to skomentować.

Wreszcie nie mieliśmy już przed sobą żadnej ścieżki. Przedzieraliśmy się na oślep przez splątane zarośla, miejscami tak gęste, że musieliśmy pełzać na czworakach. Nie wiem, ile czasu zmitrężyliśmy w tych krzakach, nie wiem, ile mil przebyliśmy w naszej ucieczce, jej etapy zaćmiły się i przemieszały w moim umyśle. Zdawało mi się, że nasz wysiłek trwa od wieków, że brodziliśmy w tamtym błotnistym stawie

bardzo dawno temu, kiedy byliśmy silni i wypoczęci.

Potknąłem się o Kit, która leżała nieruchomo na ziemi i jęknęła, kiedy jej dotknąłem.

– Nie mogę iść dalej – szepnęła.

Położyłem się obok niej, sam będąc zbyt zmęczonym, żeby ją zachęcać do wstania, i zamieniłem się w słuch. Nie słyszałem nic poza naszymi ciężkimi oddechami. Leżeliśmy, powoli się uspokajając, i nadal nic nie naruszało ciszy. Byliśmy dokładnie tacy, jak sobie tego życzył ten szalony myśliwy: zmienieni głosem jego rogu i ujadaniem psów w przerażone zwierzęta, żałośnie liczące na szansę ucieczki, kryjące się w sercu gęstwiny. Nie mogliśmy już dalej biec i pozostała nam tylko nadzieja, że psy zgubią trop. Sprawdziłem palcami ostrze mojej łopatki i mocno chwyciłem trzonek. Położę przynajmniej ze dwa psy, zanim rozszarpią mi gardło. Ale to nie było odpowiednie miejsce do walki, muszę mieć miejsce do zamachu. Tutaj splątane gałęzie krzewów krępowały mi ruchy, a pies mógł podczołgać się na brzuchu jak łasica do szczura w norze. Spróbowałem nakłonić Kit, żebyśmy przepętlili na bardziej otwarty teren.

– Tu jest największy gąszcz – powiedziała zmęczonym głosem. – Ogrodzenie musi być gdzieś blisko. Największą szansę mamy siedząc tutaj. Dla nich to tylko lepsza zabawa, jeżeli wywabią cię na otwartą przestrzeń.

Leżałem, póki nie odzyskałem częściowo sił, i wówczas niemożność działania, konieczność wyczekiwania w milczeniu, stały się nie do zniesienia. Nie wypuszczając z rąk łopatki, zacząłem się czołgać, żeby sprawdzić, jak daleko rozciągają się nasze zarośla.

Parę razy wołałem po cichu Kit i słyszałem jej odpowiedzi. Trzymałem się w zasięgu jej głosu, żebyśmy się nie zgubili. Po chwili gąszcz się nieco przerzedził i stwierdziłem, że mogę iść

wyprostowany, rozgarniając krzaki, choć nadal nic wokół siebie nie widziałem, poza przebłyskami księżyca. Nie byłem zbyt daleko od Kit, kiedy wyostałem się z gęstwiny na wrzosowisko, i natychmiast musiałem przykucnąć, bo w odległości trzystu do czterystu jardów wznosiła się wieża strażnicza. Przedemną w odległości pięćdziesięciu do sześćdziesięciu jardów wrzosowisko było przecięte ogrodzeniem: ścianą słabej poświaty, jaką widziałem w tamtą księżycową noc, chociaż teraz zdawało mi się, że rozróżniłem jaśniejsze linie poszczególnych przewodów. Poczłgałem się skrajem zarośli w lewo, utrzymując, jak mi się wydawało, tę samą odległość od miejsca, w którym zostawiłem Kit.

Stwierdziłem, że zarośla oddalają się stopniowo od płotu i nagle otworzył się przede mną widok wzdłuż szerokiej choć od dawna zaniedbanej drogi, przecinającej tę część dzikiego lasu. Ten szlak, który mógł być starą drogą pożarową, prowadził prosto do ogrodzenia. Uświadomiłem sobie, że gdybyśmy posuwali się o jakieś sto jardów bardziej w lewo, moglibyśmy dotrzeć do naszej obecnej kryjówki bez tego zabójczego przedzierania się przez zarośla i zaraz potem serce ścisnęło mi się na myśl, że z obu stron byliśmy blisko granic naszego pasma zarośli, usiadłem więc, żeby zastanowić się, co robić. Ledwo jednak znalazłem sobie miejsce w wysokiej trawie, usłyszałem za plecami ujadanie psów. Były teraz strasznie blisko i dobrze znałem tę nutę pewności w ich głosach. Wytężyłem słuch i rozpoznałem inny jeszcze dźwięk: trzask gałązek pod stopami człowieka. W zaroślach rozległo się wyraźnie długie i radosne „Hop-hoop!”, na które odpowiedział ktoś na drodze. Nie chciałem ryzykować porozumiewania się z Kit głosem, zacząłem więc czołgać się przez gąszcz w jej kierunku, po chwili jednak zatrzymałem się, pomyślałem i wróciłem na skraj przecinki, gdzie przyczałem

się na powrót w zeschniętym zielsku. Psy szły moim tropem, byłem tego pewien, bo na dziewczyny nigdy nie polowano w nocy. Kit też to wiedziała, byłem zatem pewien, że wpadnie na to, żeby oddalić się od naszego wspólnego śladu. Psy nie zmieniają ofiary, mając mój tak gorący trop, miną ją leżącą w zaroślach, pójdą za mną i zawrócą, osaczając mnie na otwartej przestrzeni. Mocniej ścisnąłem łopatkę w dłoniach i czekałem.

Usłyszałem ogary znowu i tym razem byłem pewien, że minęły już miejsce, w którym zostawiłem Kit. Postanowiłem zmienić plany, uznawszy, że skoro odzyskałem nieco siły, mogę pobiec wzdłuż przecinki i odciągnąć psy dalej od Kit. Zanim jednak zdążyłem się podnieść, z drogi dobiegło mnie donośne, wibrujące trąbienie, wysoki, radosny dźwięk rogu grafa, władczo zagrzewający do walki, tętent końskich kopyt, a także przerażająco bliska świdrująca w uszach i paraliżująca zaskoczeniem nawała tego szaleńczego miauczenia i zniekształconej do bełkotu ludzkiej mowy, którą już dwukrotnie słyszałem w Hackelnbergu.

Pan tych włości nadjeżdżał leśną drogą ze swoimi żądnymi krwi kobicami. Zbliżały się z niesamowitą prędkością i w swoim przerażeniu nie mogłem ani stać w miejscu, ani uciekać. Zobaczyłem ciemne sylwetki jeźdźców, kłusujących przez wysoką trawę i wrzosa, a przed nimi z tuzin, nie, dwadzieścia albo i więcej ludzkich kształtów, ale bardziej skaczących niż biegnących, pokonujących płataninę zielska długimi susami. Widziałem te lamparcie głowy, rysujące się czarno na tle oświetlonego księżycem nieba, widziałem wygięte płowoszare ciała na tle trawy i długie nogi, połyskujące blado w mlecznym świetle. Ogary ujadły za moimi plecami, w miejscu, gdzie zbliżyłem się do grodzienia, ale teraz nie zwracałem na nie uwagi. Mogłem patrzeć tylko na te kształty, zbliżające się skokami w moją stronę, i myśleć

tylko o błyskach stali na końcu ich rąk. Potem zobaczyłem jadącego ich śladem jeźdźca, który w blasku księżyca wyglądał jak olbrzym z baśni, z piersią owiniętą srebrną obręczą. Jego róg zaryczał raz jeszcze, gromko i zuchwale ogłaszając czas mordowania. Otarłem dłonie o moje włochate spodnie, powoli wstałem i mając za plecami rozrośnięty krzak, wziąłem zamach swoją bronią.

Nagle za plecami Hansa von Hackelnberga ktoś głośno krzyknął. Graf wstrzymał konia i zadał krótko w swój róg. Skowyt i bełkot kocic przeszedł w jednobrzmiące wycie. Ale to nie o mnie im chodziło.

Z zarośli wysunęła się ciemna sylwetka i wyszła na oświetloną księżycem przestrzeń kilka jardów przed sforą kocic. Potem odwróciła się i pobiegła przecinką prosto na ogrodzenie.

Kocice rzuciły się za nią przez wrzosa i kępy traw. Ich jazgot ucichł, ale kiedy przemykały obok mnie, usłyszałem jeden głośny szloch, jakby wszystkie na raz zrobiły wdech albo jakby wszystkie okrutne paszcze nagle wciągnęły łyk powietrza już przesyconego krwią ich ofiary. Czarna postać była wciąż przed nimi, biegnąc tak, jak istota ludzka walcząca o życie, ale kierując się na ścianę bladej poświaty, bielszej od błękitnobiałego światła księżyca. Zbyt późno zrozumiałem, że już nie zmieni kierunku. Nie wiedząc, co chcę zrobić, nie dbając o Hansa von Hackelnberga, o jego koty i psy, krzyknąłem i pobiegłem za Kit.

Von Hackelnberg też zorientował się, co ona chce zrobić. Pogalopował za sforą, klnąc swoim potężnym głosem, a potem zaczął wydobywać z rogu krótkie, dzikie głosy, mające odwołać kocice. Jego świta pędziła za nim i słyszałem długie, głośne gwizdki, wtórujące rogowi grafa.

Ale kocice miały już swoją ofiarę w zasięgu wzroku i

doganiały ją w szybkim tempie. Wiedziałem, że nic ich już teraz nie powstrzyma. Zobaczyłem, jak Kit rzuca się na tę niematerialną świetlistą barierę jakby to był jakiś mur, po którym można się wdrapać. Wykrzyknąłem jej imię, przerażony widokiem Kit, która była dla mnie wzorem i sprawdzianem zdrowia psychicznego, teraz doprowadzonej strachem do szaleństwa. Ale już w następnej chwili wiedziałem, że to nieprawda, bo w momencie skoku na płot zawołała do mnie. Usłyszałem ją wśród wszystkich tych krzyków, gwizdków i ryku rogu. Usłyszałem, jak woła nie w szale, ale z bezgranicznym oddaniem.

– Alan! – krzyknęła. – Przechodź, przechodź!

A potem pod nią, na tle tego ekranu słabej białej poświaty, sfera kocic zakłębiła się masą drgających ciał z szaleńczo wyciągającymi się w górę rękami, zupełnie czarną w zestawieniu z promieniowaniem płotu. I znów usłyszałem ich głos: tym razem krótkie, rozpaczliwe krzyki i jęki bólu. Ciemne sylwetki jeźdźców tańczyły po tej stronie, między ogrodzeniem a zaroślami, nie milkły gwizdki, a róg von Hackelnberga odzywał się raz po raz.

Biegłem w ich stronę wśród rzadkich krzewów na skraju gęstwiny, nie mogąc oderwać wzroku od czarnej postaci nad drgającą masą stada kocic. Bo wisiała tam, całkowicie nieruchoma, z ramionami rozpostartymi wzdłuż najwyższego drutu, z głową opadłą na piersi i bezwładnymi nogami. Zawieszona w ten sposób stała się znakiem ofiary i zbawienia. A kiedy się zatrzymałem, po kolana w szorstkiej trawie i wrzosach, spostrzegłem, że sylwetka Kit świeci przyćmionym światłem, jakby każdy włoszek okrywającego ją aksamitnego futra osypał szron.

Mój mózg i serce były tak zmiażdżone tym ciosem, że zapomniałem o niebezpieczeństwie, które Kit chciała ode

mnie odciągnąć. Chyba szedłem, zataczając się, w jej stronę po otwartej już przestrzeni, wykrzykując jej imię, kiedy nagle, niczym echo, odezwał się w moich uszach jej głos, wołający „Alan! Przechodź!” Wtedy dopiero zrozumiałem, dlaczego wybrała śmierć i przypomniałem sobie, że Kit była kiedyś świadkiem takiej śmierci. Płot przestał świecić i ucichły gwizdki. W blasku księżyca wyłowiłem zimne lśnienie drutu, a za nim wrzosowisko, brzozy i dalej czarny masyw sosnowego boru, ale w tym momencie rozbłysł reflektor z wieży strażniczej. Snop światła obmacał ogrodzenie, znalazł grupę ciał przy drutach i tam się zatrzymał.

Nagle z wielką jasnością zrozumiałem, co muszę zrobić. Leśnicy podjechali pod sam płot. Słyszałem trzaski ich ciężkich batów i przenikliwe okrzyki bólu, przebijające się przez szaleństwo skowytów i jęków. Kłęb ciał i kończyn oddalił się od ogrodzenia i rozpadł na tuzin kocic, które rozbiegły się wśród jeźdźców, warcząc, parszcząc śliną, miaucząc i rzucając się z pazurami na swoje ranne towarzyski, podczas gdy leśnicy, klnąc na czym świat stoi i nie szczczędając batów, zapędzali je na skraj zarośli. Pobiegłem przed siebie poniżej słupa światła, pewien, że dla wszystkich, znajdujących się w jego zasięgu jestem niewidoczny, pewien, że przewodnicy psów trzymają je na smyczach, bo uznali, że ich praca jest zakończona, i pewien, że uwagę strażników na wieży przykuwa dramat sfory kocic. Przekroczyłem dwa jardy nagiej ziemi przed ogrodzeniem, namacałem drut, prześlizgnąłem się pod nim i skulony pobiegłem wśród wrzosów po drugiej stronie płotu do ciała Kit.

Zanim tam dotarłem, Hans von Hackelnberg i dwóch jego leśników zeskoczyli z koni. Przechodzili między leżącymi na ziemi ciałami, z których jedne nie dawały oznak życia, a inne jeszcze się ruszały, i dwaj strażnicy krótkimi, gwałtownymi

ciosami kordelasów dobijali okaleczone kocice. Sam Hans von Hackelberg podszedł prosto do ciała wiszącego na płocie, zdjął je z drutów i uniósł nad głową w swoich potężnych rękach. Pozostawałem dla niego niewidoczny, bo znajdowałem się poza oślepiającym snopem światła, ale przekroczyłem jego granicę i zobaczył mnie w odległości niespełna dwunastu stóp za ażurowym ogrodzeniem.

Jego chłopcy też mnie spostrzegli i zwrócili się ku mnie z kordelasami w ręku, jakby mieli się na mnie rzucić, ale von Hackelberg powstrzymał ich krótką komendą. Stał przez chwilę, trzymając bezwładne ciało Kit w całunie z iskrzącego się w blasku reflektora aksamitu, a potem odwrócił się i spojrzał na skomlące resztki swojej sfory, w której konni leśnicy z trudem utrzymywali porządek. Graf podjął jakąś decyzję i obejrzał się w moją stronę. Ostre światło przekształciło jego rysy w karykaturę złości i okrucieństwa, bardziej nieludzka niż stworzenia, będące dziełem jego szatańskiej pomysłowości, ale ja nie czułem już przed nim lęku. Przeniosłem wzrok z jego dzikiej potęgi na żalną martwą istotę w jego ramionach i po pierwszy w życiu przekonałem się, że taka strata wyrывa z serca wszystkie inne cierpienia, zostawiając po sobie pustynię, na której nigdy już nie wyrośnie żaden inny strach ani ból. Nie obchodził mnie skierowany do mnie jego gwałtowny okrzyk, którego treść dotarła do mnie długo po tym, jak odwrócił się i odszedł.

– Idź! – ryknął do mnie. – Tej nocy jesteś wolny. Hans von Hackelberg daruje ci życie, żeby zapolować na ciebie pod innym księżycem!

Nie wiedziałem i nie chciałem wiedzieć, na podstawie jakiego prawa swojego szaleńczego sportu puścił mnie wolno. Leśnicy cofnęli się i schowali kordelasy do pochw. Powinienem był przekroczyć ogrodzenie ponownie i pójść na

spotkanie bestii ze stalowymi pazurami, ale w tym momencie reflektor zgasł a białe promieniowanie płotu jednym skokiem przecięło całą otwartą przestrzeń przede mną i ujrzałem von Hackelnberga z jego ciężarem przez ten niesamowity ekran, bezbarwny, nie rzucający cienia, pozbawiony wszelkiej realności, równie odległy ode mnie jak biały, niewzruszony księżyc. Zobaczyłem, jak pozbawiona szczegółów, upiorna postać grafa kroczy w stronę koszmarnej sfory, jak powtórnie unosi wysoko blade ciało i rzuca je między kocice.

Nie mam pojęcia, jak długo leżałem wśród wrzosów, wpatrzony w tę ciekłą świetlistą ścianę. Zapewne patrzyłem tak, długo po tym, jak po drugiej stronie ustał wszelki ruch, nie będąc w stanie ruszać się ani myśleć. Nic już nie słyszałem i nic nie widziałem. W moim mózgu nie ma żadnego śladu tego, co działo się później tej nocy, ani wielu następnych nocy. Jedynie moje ciało zachowało rodzaj fizycznej pamięci o tym, że wstałem, zdarłem z siebie liberię von Hackelnberga, i że szedłem w transie wyczerpania przez las, póki światło księżycy i mrok nie połączyły się w jedno, a ziemia nie uciekła mi spod stóp.

Rozdział ósmy

Kot, który spał w najlepsze na dywaniku przed kominkiem przez ostatnią godzinę opowieści Alana Querdiliona, obudził się, kiedy ten przestał mówić, ziewnął i wskoczył na poręcz jego fotela. Alan wstał, wepchnął czubkiem buta ostatnie polano w środek prawie wygasłego ognia i zadrżał z zimna.

– Niemiecka policja nie miała wątpliwości, że jestem pomyłony, kiedy mnie znalazła gołego przy torach kolejowych. Było to koło małej miejscowości o nazwie Kramersdorf, chyba niedaleko Daemmerstadt, stacji, która była moim celem. Trzymali mnie przez miesiąc w szpitalu a potem albo uznali mnie za wyleczonego, albo przestało ich to obchodzić i wsadzili mnie z powrotem do obozu, tyle że do innego. Było to we wrześniu czterdziestego trzeciego roku. Przesiedziałem tam do przyścia Rosjan w maju czterdziestego piątego.

– Ale czy nie wiesz, gdzie wtedy byłeś?... – zacząłem. – To znaczy, czy niemiecka policja nie ustaliła, co robiłeś między ucieczką z pierwszego obozu a znalezieniem cię przy torach kolejowych?

– Jeżeli ustalili, to mi nie powiedzieli – Alan milczał przez chwilę a potem westchnął. – Cóż, to wszystko, co mi się przydarzyło, kiedy postradałem zmysły. Jak ci już mówiłem, jeżeli to nie wróci przez następny rok, poproszę Elizabeth o

Dźwięk rogu

rękę i, mam nadzieję, zapomnę, że kiedyś popadłem w szaleństwo. Wytrzymałeś całą moją historię, a teraz musisz pójść do łóżka i zapomnieć, że ją kiedykolwiek słyszałeś. Nikt inny jej już nie usłyszy.

– Nie – powiedziałem. – Musisz ją opowiedzieć Elizabeth. Ona to powinna usłyszeć.

Alan wyszedł bez odpowiedzi i usłyszałem, jak otwiera frontowe drzwi.

– Nie wiem – mówił pod nosem, bardziej sam do siebie niż do mnie. – Nie wiem. – Nagle zaklął pod nosem. – Gdzie znów polazł ten cholerny kot? Z kotami zawsze jest kłopot, czy się je wpuszcza, czy wypuszcza.

KONIEC

Lech Jęczmyk

Gdyby Hitler zwyciężył

Krótką historią hitleryzmu od przeszło pół wieku nie przestaje fascynować historyków, pisarzy i filmowców. Wynikać to może z tego, że cała ideologia i praktyka nazizmu była w istocie scenariuszem fantastycznego horroru, w którym niezwykle istotną rolę odgrywały monumentalne dekoracje, oddziaływujące na wyobraźnię kostiumy, wspaniale wyreżyserowany ruch sceniczny (defilady, zjazdy partyjne, wytresowane tłumy statystów), znakomicie wykorzystujące możliwości najbardziej wówczas masowego środka przekazu, radiowe aktorstwo Hitlera i wreszcie wszechobecna muzyka marszowa.

Amerykański autor science fiction Norman Spinrad w powieści „The Iron Dream” (Żelazne marzenie) z roku 1972 przedstawia Hitlera, który na emigracji w USA nie znajduje pola do działalności politycznej i ujawnia świat swoich marzeń w grafomańskich powieściach. Rzeczywiście wymiana między hitleryzmem a literaturą jest czymś niezwykłym i gdyby nie dowody w postaci milionów trupów, można by pomyśleć, że świat został na jedenaście lat przeniesiony na strony powieści z gatunku makabrycznej fantazy. Ideologia hitleryzmu lęga się

z inspiracji teozofii Heleny Bławatskiej (de domo Hahn) i innych mętnych teorii, które dziś zaliczylibyśmy do New Age'u, a także takich autorów jak Anglik Edward Bulwer-Lytton z powieścią „The Corning Race” (Nadchodząca rasa) z roku 1871, Niemiec Hanns Heinz Ewers z powieścią „Alraune” z roku 1911, w której przedstawiony jest eksperyment z tworzeniem podlejszego gatunku człowieka, czy wreszcie dziennikarz, poeta i dramaturg Dietrich Eckart (1868-1923), któremu Hitler dedykował drugi tom swojego „Mein Kampf”. Nie można też pominąć inspiracji starogermańskich i scenograficznych płynących z oper Wagnera.

Po upadku hitleryzmu role się odwróciły i teraz on zaczął spłacać dług zaciągnięty u literatury. W angielskiej encyklopedii fantasy znajduje się osobne hasło „Hitler wins” (Hitler zwycięża), omawiające utwory na temat „co by było, gdyby Hitler wygrał wojnę”. Można tu wymienić „Człowieka z Wysokiego Zamku” Philipa K. Dicka, „Brunatną rapsodię” Otto Basila, „SS-GB” Lena Deightona czy „Vaterland” Roberta Harrisa. Gregory Benford i Martin Greenberg wydali też antologię opowiadań pod tytułem „Hitler Victorious” (Hitler zwycięski).

Niewielka objętościowo powieść Sarbana (pseudonim Johna Williama Walia, zawodowego dyplomaty angielskiego, żyjącego w latach 1910-1989) powstała w roku 1952 i ma trwałe miejsce w historii science fiction i fantasy jako dziełko pionierskie w tej tematyce. Sarban wpadł do literatury na krótko – w latach 1951-1953 napisał swoją jedyną powieść i dwa tomiki opowiadań, ale jego obecność została zauważona i odnotowana.

Mroczna fantazja Sarbana – powstała zapewne nie bez inspiracji „Wyspy doktora Moreau” H. G. Wellsa (1896) – wydaje się mniej fantastyczna i chimeryczna, jeżeli się spojrzy

na rzeczywiste „dokonania” i plany Hitlera oraz jego najbliższych współpracowników.

Heinrich Himmler już przed wojną budował lub przejmował zamki w stylu gotyckim, składające się na system „zamków zakonnych” (Ordensburgen), w których kształcono dobraną młodzież – także arystokratów innych narodowości – na przyszłych bezwzględnych feudalnych władców Europy, sięgającej po Ural. Mówił Hitler: *W moich Ordensburgach wyrosnie młodzież, przed którą zadrży świat. Młodzież gwałtowna, zaborcza i okrutna. Takiej właśnie pragnę. Musi być odporna na cierpienie. Nie może znać słabości ani tkliwości. Chcę w jej oczach zobaczyć błysk spojrzenia dzikiego zwierzęcia.* Wypisz, wymaluj graf von Hackelnberg.

W Trzeciej Rzeszy tytuł wielkiego łowczego nosił Hermann Göring, który rzeczywiście miał imponującą posturę, ale rozrośniętą głównie w pasie. Podczas pierwszej wojny światowej był jednym z asów lotnictwa myśliwskiego, w czasie drugiej wojny mógł już zmieścić się tylko do bombowca. W ideologii hitlerowskiej ziemia, ekologiczne rolnictwo i prastare puszcze, pobrzmiwające głosami starogermańskich bogów, odgrywały istotną rolę, co rzutowało także na politykę. Po czwartym rozbiorze Polski w 1939 roku dokonano na żądanie wielkiego łowczego Rzeszy korekty granic tak, żeby Niemcom przypadła Puszcza Białowieska. Wojna światowa wojną światową, a na żubra chciało się zapolować.

Również opis wyrastającego z puszczy zamku Hackelnberg wydaje się mniej fantasmagoryczny, jeżeli się spojrzy na plany nazistowskiej architektury, którym patronowali Himmler i niedoszły artysta Hitler. Oto opis zamku Wewelsburg: *Plany, pochodzące z lat 1940-1942 przewidywały budowę ogromnego kompleksu architektonicznego, składającego się z licznych sal, galerii, wież, wieżyczek i łączących je murów, zbudowanych w*

formie półkola wokół pierwotnego średniowiecznego zamku¹.

Styl ten konkurował w Trzeciej Rzeczy z inspiracjami Imperium Rzymskiego, ale jego bodaj najciekawszym aspektem było tak zwane *prawo wartości ruin*, o czym pisze w swojej bogato ilustrowanej książce Igor Witkowski². Hitler chciał wznosić takie konstrukcje i z takich materiałów, żeby po tysiącu lat ruiny budowli wyglądały imponująco i porządnie. Jak egipskie piramidy i rzymskie akwedukty.

Jednak akcja powieści Sarbana jest umiejscowiona na Wschodzie, może we wczorajszym Enerdowie, a może w dzisiejszej Polsce, a tu obowiązywały wzorce feudalne, w szczególności przykładem był zakon krzyżacki. Dziedzic esesman (każdy zaopatrzony w nowiutki herb), wokół niego niemieccy chłopci żołnierze i niezbędna liczba niewolników podludzi. Stosunek do nich szczerze wyrażał Himmler:

Nigdy nie będziemy brutalni i bezlitośni tam, gdzie to nie jest konieczne, to jasne. My, Niemcy, jedyńi na świecie mamy przyzwoity stosunek do zwierząt. Dlatego również nasz stosunek do tych człekożwierząt (Menschentieren) będzie przyzwoity. Ale zbrodnią wobec naszej własnej krwi byłoby martwić się ich losem i obdarzać ich ideałami, żeby nasze dzieci i wnuki miały potem z nimi kłopoty.

Powieść Sarbana trafnie pokazuje ów czysto instrumentalny stosunek do człowieka. Hitlerowcy zdążyli uruchomić plan produkcji nadludzi (panienki, zgłaszające się do rodzenia nieślubnych dzieci, wielożeństwo dla esesmanów) i gdyby mieli więcej czasu, mogliby przystąpić do hodowli wyspecjalizowanych podludzi. Nie byłiby zresztą pierwsi, bo w Ameryce przed wojną secesyjną działały „stadniny” produkujące silnych i wytrzymałych niewolników. Generalnie

¹ N. Boodrick-Clarke: Okultystyczne źródła nazizmu. Warszawa 2001.

² Igor Witkowski: Hitlera plany przebudowy świata. Warszawa 2001.

jednak plany hitlerowskie przewidywały zasadnicze zmniejszenie liczby ludności tubylczej, żeby zostawić więcej miejsca na lasy typu Hackelnbergu. Spójrzmy na zalecenia Martina Bormanna z roku 1941:

Aby na terenach wschodnich uniknąć niepożądanego dla nas powiększania się liczby ludności, należy stanowczo unikać na Wschodzie wszelkich środków, jakie stosowaliśmy w Rzeszy dla zwiększenia liczby urodzin. W tych obwodach powinniśmy świadomie prowadzić politykę zmniejszenia ludności. Przy pomocy środków propagandy, zwłaszcza prasy, radia, kina, ulotek, krótkich broszur, odczytów itp., powinniśmy stale wpajać ludności świadomość, że posiadanie dużej ilości dzieci jest szkodliwe. Trzeba wskazywać, jak ogromne koszty pociąga za sobą wychowanie dzieci i co można byłoby nabyć za te pieniądze. Trzeba mówić o wielkim niebezpieczeństwie, jakim jest dla zdrowia kobiety rodzenie dzieci itp. Jednocześnie powinna być rozwinięta jak najszersza propaganda środków antykoncepcyjnych. Koniecznie trzeba zorganizować szeroką produkcję tych środków. Rozpowszechnianie tych środków i poronienia nie powinny być w żadnym stopniu ograniczane. Należy wszelkimi sposobami przyczyniać się do rozszerzania sieci izb poronieniowych. Można, na przykład, zorganizować specjalne przeszkolenie dla akuserek i felczerek, nauczyć je dokonywania poronień. Im lepiej będą wykonywane poronienia, z tym większym zaufaniem odniesie się do nich ludność. Zupełnie zrozumiałe, że lekarze także powinni posiadać pozwolenie na dokonywanie poronień. Nie powinno się tego uważać za naruszenie etyki lekarskiej. Należy również propagować dobrowolną sterylizację, nie dopuszczać do walki o zmniejszenie śmiertelności niemowląt, nie zezwalać na pouczanie matek o pielęgnacji osesków i zabiegach profilaktycznych, przeciwko chorobom dziecięcym. Należy

ograniczyć do minimum naukę rosyjskich lekarzy w tych specjalnościach, nie udzielać żadnego poparcia przedszkolom i innym tego typu zakładom. Obok tych posunięć w zakresie służby zdrowia nie powinno się stawiać żadnych przeszkód rozwozom. Nie powinno się udzielać pomocy dzieciom nieślubnym. Nie należy przyznawać żadnych ulg podatkowych rodzinom wielodzietnym ani okazywać im pomocy materialnej w postaci dodatków do zarobków...

Świat wielkim wysiłkiem nie dopuścił do realizacji sadomasochistycznego koszmaru hitleryzmu. Koszmar komunizmu, kiedy przestał go śnić wielki wizjoner Stalin, stracił na energii i doszedł w końcu do samolikwidacji, ale próby wtłoczenia ludzi w scenariusze grupiek szaleńców będą podejmowane wciąż na nowo. Może warto czasem wydać powieść grafomanowi (którym Sarban nie jest) albo przyjąć do akademii sztuk pięknych kiepskiego malarza.